

ces. 12442/4/28

# P I O N

90.5

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV \* WARSZAWA \* SOBOTA — CENA 50 GR. — 11 LIPCA 1936 R. \* NUMER 28 (145)

TREŚĆ: J. E. SKIWSKI: Mania szarzyzny \* MARIA JASNORZEWSKA: Róże dla Safo \* WŁ. GORDZIEJEW: Erazm z Rotterdamu \* ANDRZEJ SURKOW: Reforma nauki historii w Z. S. R. R. \* STANISŁAW ROGOŹ: Starsi sobie, młodzieńcy sobie \* BRONISŁAW KRYSZTOF WIERZEJSKI: Wystawa polskich artystów w Rzymie \* J. PUCIATA-PAWŁOWSKA: Wystawa drzeworytów włoskich w Warszawie \* SZTUKA I ANTENA: WIKTOR MAJEWSKI: Latem, śpię przy ciętym głosniku —



STANISŁAWA KUSZELEWSKA: Piękne przedstawienie radiowego Teatru Wyobraźni \* W. BĄK, ST. SCHAYER: Poezje \* EWA KORZENIEWSKA: Powieść \* E. STRĄŻYSKI: Pedagogika \* MARJA WINOWSKA: Sprawy francuskie \* STANISŁAW SAWICKI: Polonica szwedzkie \* ADUZ: Spojrzenia w rzeczywistość \* W. BĄK: Przegląd prasy \* UT: Mimoschem \* W. C.: Liga Morska i Kolonialna.

## MANIA SZARZYZNY

Słyszysz się u nas dużo o tak zwanej literaturze szarego człowieka. Już sama nazwa zakłada istnienie jakiegoś specjalnego gatunku, specjalnego typu, który nazywamy szarym człowiekiem.

Zacznijmy więc od podstawowego pytania: czy istnieje szary człowiek? A jeśli istnieje, jakie są jego cechy rozpoznawcze? Czym różni się od innych ludzi? Istnienie szarego człowieka wisi niejako w atmosferze, przyjmuje się je jako założenie pewne, jak gdyby to była sprawa jasna i z góry przesądzona. W istocie jednak to istnienie wcale nie jest tak pewne.

Szary człowiek stał się ulubieńcem naszych powieściopisarzy. Według niektórych z nich i według opinii pewnego odłamu naszej krytyki, współczesna nasza literatura jest, a nawet być powinna literaturą szarego człowieka. Skoro więc sprawa oparła się o literaturę, może słusznie będzie zacieśnić nasze pytanie i zacząć od rozważenia sprawy: jaki jest rodowód szarego człowieka w literaturze.

Wiek XIX jest wiekiem wielkiego rozkwitu powieści. Zarazem jest epoką radykalnego zerwania literatury z tematyką patetyczną i zwróceniem się ku pospolitym ludziom, ku pospolitemu życiu. Jeśli kiedy, to właśnie przed wiekiem hasło szarego człowieka w literaturze miało by jakieś podstawy i jakiś sens. Gdyby je wówczas sformulowano i wysunięto, oznaczałoby ono to po prostu, że literatura po raz pierwszy przesuwa się całą siłą swojego zainteresowania ku życiu potocznemu, a raczej mówiąc ściślej, ku życiu wewnętrzniemu człowieka. Ze przestaje być kroniką, patetyczną scenarią i zwraca się ku psychologii. Bierze sobie za temat wnętrze ludzkie, a naczelną jej ambicją staje się jak najdokładniejsze, jak najgłębsze poznanie owego wnętrza ludzkiego. Powieściopisarza przestaje obchodzić to kim jest jego bohater w życiu, czy mierzony miarą zewnętrzną, znajduje się u góry czy u dołu drabiny społecznej — tylko: co przeżywa, i jaki jest jego świat wewnętrzny.

Powieść europejska XIX wieku dowiodła istotnie, że ambicjom tym umie sprostać. Wielkie dzieło poznania psychiki ludzkiej prowadzone przez takich genialnych pisarzy jak Balzac, Dostojewski, Stendhal, Flaubert — u nas reprezentowane przez znakomitego Bolesława Prusa — pokazało nam, jakie nieprzeczuwane bogactwa kryje w sobie tak zwana pospolita dusza ludzka. Z chwilą kiedy rozwój psychologii w powieściopisarstwie osiągnął tak wysoki poziom, zagadnienie szarego człowieka przestało wogóle istnieć, stało się niepotrzebne, pozbawione wszelkiej treści. Miało ono sens tylko w jednej chwili dziejowej, mianowicie w tym momencie zwrotnym, kiedy pisarz zwracał się od efektownej fabuły — ku wnętrzu ludzkiemu. Kiedy przestał go obchodzić człowiek na tle scenarii życia potocznego, kiedy pisarz siłą intuicji wszedł w głąb człowieka. Ściśle w tym momencie hasło szarego człowieka w literaturze miało pewien sens orientacyjny. Z chwilą jednak, kiedy powieść weszła całkowicie na tory psychologiczne, z tą chwilą inne zagadnienia wysunęły się na plan pierwszy, zagadnienia związane ze strukturą, ze sprawami formalnymi, sam zaś fakt, że powieściopisarz jest psychologiem i tylko psychologiem, stał się już rzeczą zrozumiałą samą przez się. I rzecz charakterystyczna: w okresie, kiedy literatura zaczęła zajmować się faktycznie człowiekiem pospolitym, „szarym” — nie wysunęła bynajmniej hasła szarego człowieka. Dlatego zapewne, że była oszłomiona bogactwem i barwnością wnętrza owego człowieka pospolitego.

Wysuwanie hasła szarego człowieka dzisiaj jest ze stanowiska historii literatury horrendalnym anachronizmem, bo późniejszym o dobrą setkę lat.

Ale jeśli wysuwa się dzisiaj hasło szarego człowieka w literaturze, to — mógłby ktoś słusznie zauważyć — nie można tej sprawy oceniać wyłącznie ze stanowiska literackiego. W tej tendencji tkwi pewien moment społeczny, i bodaj on jest najważniejszy.

Otóż to jest całkowite nieporozumienie. Szary człowiek nie jest pojęciem społecznym i żadną miarą nie da się pogodzić z wielkimi prądami społecznymi, nurtującymi dzisiejszą ludzkość. Szary człowiek, to spadek po tych czasach, kiedy między grupą rządzącą a masą rządzoną istniała przepaść nie do przebycia. Kiedy ludzie segregowano na rządzących i rządzonych. W takim właśnie układzie społecznym komplementowanie szarego człowieka było aktem miłosierdzia i kurtuazji wobec biernej masy, której „też” przyznawano się jakąś wartość, jakiś sens istnienia. Dziś jednak świat inaczej wygląda. Bo jeśli nawet weźmiemy pod uwagę państwa, w których panuje régime dyktatorskie, to zobaczymy, że człowiek z tłumu ani rusz nie zasługuje na nazwę szarego człowieka. Jakkolwiek bowiem jego wolność osobista jest często mocno ograniczona względami na interes ogólny i podporządkowana panującej w państwie ideologii, to jednak udział jego w życiu społecznym, jego rola, intensywność i stopień ponoszonej odpowiedzialności za wykonywaną pracę — są tak wielkie, że ów wewnętrznie skrupowany człowiek staje się czynnikiem pełnowartościowym, bynajmniej nie bierną istotą, mechanicznie posuwaną na szachownicy. Nie, do człowieka z tłumu, z

dzisiejszego tłumu, nazwa szarego człowieka absolutnie zastosować się nie da. Ten człowiek, to człowiek świadomy, człowiek czynny i człowiek twórczy. Dlaczego więc mielibyśmy opatrywać go etykietą szarzyzny?

Ale nie na tem koniec. To co wydaje mi się najtrudniejsze, a nawet wprost niemożliwe do przyjęcia w owej mglistej koncepcji szarego człowieka, to ów ton filantropijno-protekcynny wobec tak zwanego cichego pracownika, człowieka z tłumu i t. d. Rzecz prosta ci, którzy wysuwają hasło szarego człowieka, nie przyznają tego. Przeciwnie, oni zawsze twierdzić będą, że są pełni szacunku i uznania dla skarłów duchowych, tkwiących w szarym człowieku. Ale skoro tak jest, — zapytamy — to czemuż wymyślili termin szarego człowieka, czemu zaklasyfikowali go jako coś bezbarwnego, coś nad czym trzeba się dopiero nachylić, aby dojrzeć? — Rzecz znamienna, gdyby się zapytać tych wszystkich ludzi, którzy tak ochoczo rozprawiają o szarym człowieku, czy sami siebie uważają za szarych ludzi — pewien jestem, że nikt nie zdecydowałby się na odpowiedź twierdzącą. Słusznie zresztą, bo nikt, absolutnie nikt, nie powinien siebie za szarego człowieka uważać. Szary człowiek to stanowisko rezygnacyjne, z góry przesądzone nasze możliwości, skazujące nas na jakąś sentymentalnie-szlachetną bierność. Trudno też zrozumieć, jak można pojęcie szarego człowieka wiązać z ideami demokratycznymi. Przeciwnie, szary człowiek, to ostatek produktu dawnych despotycznych regimów, kiedy człowiek pospolity, człowiek zwykły, potrzebował pociechy, kiedy nikłość jego egzystencji trzeba było podtrzymać filantropijnym frazesem.

Wreszcie jedna jeszcze sprawa wiążąca

się z zagadnieniem szarego człowieka. Oto wydaje mi się dość podejrzany jego rodowód. Skąd się wziął w naszej literaturze, krytyce i publicystyce? Czy jest to produkt rodzimy? Trudno dziś odpowiedzieć na to z całą ścisłością. Trudno przede wszystkim dlatego, że jakkolwiek o szarym człowieku wiele się u nas mówi w prasie i w książce, w życiu potocznym, — to jednak jego teorii nikt nie opracował. Szary człowiek urodził się sam, zaczęto o nim mówić nie wiadomo kiedy i tak bez dowodu osobistego, z niewiadomych rodziców, prowadzi swój tułaczy choć dość głośny żywot. Drugi powód to ten, że jeśli szarego człowieka zapożyczono, to oczywiście nikt się tym nie będzie przechwalał i sprawa wyjaśni się dopiero później, kiedy wszystkie materiały będą dostępne. Na razie więc tyle można powiedzieć, że rzuca się w oczy pewna analogia z literaturą rosyjską okresu poprzedzającego bezpośrednio wielką wojnę. W tej to literaturze często przewijało się określenie *niekto w sierom* to znaczy: ktoś szary, ktoś szaro ubrany. Była to postać symboliczna i ogromnie na tle ówczesnych stosunków wymowna. Był to ów zagadkowy, zaczajony człowiek z tłumu, jak gdyby naelektryzowany jakąś mocą niepozorną, a jednak kryjącą w sobie ogromne możliwości. Mocą, która później wybuchła. I na tle ponurej reakcji rosyjskiej to hasło, ten termin miał swoją wymowę i swoją barwę. Przeniesiony jednak na tło dzisiejszej Polski z punktu widzenia historii literatury nie znaczy nic, a ze stanowiska społecznego jest spóźnionym i niesmacznym gestem filantropijnym. Nie żyjemy w szarych czasach — nie chcemy szarych ludzi!

J. E. SKIWSKI

## R Ó Ż E D L A S A F O

Ukochanej Kazi Ilakowicz

GLUKUPIKROS

Już wtedy, w Mitylenie,  
Jak i w całej Lesbos,  
Obca jasnym, gajowym i nadmorskim bożkom,  
Upadłaś, Miłości, pod ciężarem łez, bo  
Jak dziś — byłaś słodko-gorzka...

Safo, z puchem nad wargą,  
Safo fiołkowlata,  
gdy miłosna zgnębiła ją przykrość,  
Zapatrzona w Plejady, wschodzące w niebiosach,  
Nazywała Erosa: g l u k u p i k r o s...

F A O N

Safo śniada, Safo długooka,  
Drobna i niepozorna jak zwykle słowiki,  
Pokochała niejakiego Faona,  
Żeglarza urody przedniej,  
Który, choć młody,  
Lecz nienawidził liryki,  
W szczególności safickiej ody.

Jakżeś ubogą była, siostrze, przed nim,  
Ty, coś demonów usidliła tyłu!  
Jak pokorną w jego ramionach!  
Ach, bo czem byłby słowik bez swojego trylu!  
Słowik w oczach głuchego?

Czem jaśminy, nardy  
I fiołki, pozbawionym węchu, lub beznosym?  
Czem dla śpiących uluda księżycowej nocy,  
Oplecionej galaktyki szarfą?  
Safo!  
Natchniona!  
Więc się i doczekałaś zasłużonej wzdargi  
Niejakiego Faona...

ŚMIERĆ SAFO

Poetka, samobójczyni,  
Loki rozwiawszy fiołkowe,  
Nad wodą stoi...  
„Safo, co chcesz uczynić?”

— „Chcę morze zarzucić na głowę,  
By nikt nie dojrzał łez moich...”

EPITAFIUM

Myszę o Tobie, Safo,  
Tu, u wrót Hellady,  
Gdzie mnie noc gwiazdomorska z przeszłością jednoczy...  
Zrywam dla Ciebie kilka róż, gwiazdzistych, białych —  
„A słodszy zapach róży  
Gdy zerwana w nocy...”

MARIA JASNORZEWSKA

Pireus 1935, wrzesień.

K 1669/86/26

Biblioteka  
Lublin

## ERAZM Z ROTTERDAMU

Czerwiec roku 1536 przyniósł radosną nowinę humanistycznej „kolonii“ w Bazylei: do miasta powrócił — wygnany zeń przed kilku laty przez nawalnicę reformacji — niekoronowany król i mistrz humanistycznej Europy — Erazm z Rotterdamu. Opuścił on swe dotychczasowe schronienie — szwajcarski Fryburg, by, korzystając z chwilowego odprężenia w zatargu religijnym, ruszyć do dawno niewidzianej, ojczyzny Holandii. Graszująca jednak w Bazylei dyzenteria nie wypuszcza go już z murów miasta. Siły siedemdziesięcioletniego starca szybko ustępują przed atakiem choroby; kres nadchodzi w nocy z 11 na 12 lipca. Otoczony przez najbliższych przyjaciół umiera wielki Erazm: przytomności nie traci aż do ostatniej chwili, w której wzywa zmiłowania Stwórcy słowami łacińskich modlitw: *Domine, miserere mei, O Iesu Misericordia, Domine, libera me* — i wreszcie ostatnim tchem — dźwiękami ojczyzny, ale zapomnianej niemal mowy: *Liever God*.

Dziś po 400-tu latach od tej chwili możemy powiedzieć, że „spór o Erazma“ należy niemal do przeszłości. Niemal — gdyż nadal nie brak tych, którzy nie mogą w żaden sposób wybaczyć Erazmowi rozmaitych słabości i małostek charakteru. Mniejsza o nich, łatwa to i codzienna rzecz sądzić „przed trybunałem historii“ nieżyjących. Ich wyrok nie zmienia roli, jaka stała się udziałem Erazma w dziejach naszej kultury.

Urodzony dnia 27 października 1466 (lub 1467) w Rotterdamie z nielegalnego związku księdza Gerharda de Praet z mieściczką, wcześniej przez rodziców osierocony, złą wolą opiekunów wydarty ze znakomitej szkoły w Deventer i zmuszony do wstąpienia do klasztoru — już od najmłodszych lat ekazany został Erazm na ciężkie zmaganie się z przeciwnościami losu. Walka ta była dla niego tym cięższa, że natura nie wyposażała go w odpowiednią moc ciała i ducha: chorowity i delikatny, z trudem znosił ascetyczny tryb życia w klasztorze, nieśmiały, zawsze wahający się i niezdecydowany, nie miał nigdy dość odwagi do męskiego stawiania czoła trudnościom walki o istnienie i powodzenie. Jedynym polem, na którym jego niesłychana pilność, pracowitość i pamięć, połączona z niezwykłą bystrością, przenikliwością i krytycznością umysłu, mogły zabłysnąć, była nauka. Erazm ponaż istotnie fanatyczną żądzą wiedzy, która tłumaczy nam — jeżeli nie usprawiedliwia — wiele ciemnych barw jego charakteru, a przede wszystkim niezrozumiałość dla nas odwęgi i natarczywość poniżającej i unionej zebraniny u przeróżnych protektorów: wyrwany z klasztornej więzienia przez jednego z książąt Kościoła brabantkiego, poszukiwanego zdolnego sekretarza do zamierzonej podróży do Rzymu, udaje się Erazm wobec zaniechania tej wyprawy do Paryża i tu spędza długie lata na zapamiętanych studiach nad literaturą łacińską, a po z dawną upragnionym opanowaniu greki — literaturą grecką i w ogóle starożytnością klasyczną. Żyje tu jak „ptak niebieski“, przymierając często głodem, gdyż subsydia kapryśnych protektorów nie dochodzą zbyt regularnie. Poszukiwania nowych mecenasów, jak również grasujące raz po raz w Paryżu epidemie zarazy, ciągle przerywają bieg studiów. Zwiedza wówczas Erazm spory ezmat Burundii i Holandii, kilka razy przeprowadza się do Anglii. Podróż te dają mu nie tylko możliwość zetknięcia się z wieloma innymi i zresztą ośrodkami ruchu umysłowego ówczesnej Europy, ale też roznoszą sławę młodego humanisty, budząc powszechny podziw dla jego zdumiewającej wiedzy i talentu. Podziw ten rośnie i ogarnia coraz liczniejsze rzesze humanistów, gdy Erazm rozpoczyna wreszcie publikować owoce swych studiów. Jego europejską sławę gruntuje zwłaszcza i dziś jeszcze zdumiewający ogromem wiedzy i pracy zbiór powiedzeń i przysłów starożytnych (*Adagia* — 1 wyd. 1500). Odtąd też datuje się przemożny wpływ Erazma na kształtowanie się ruchu umysłowego zachodniej Europy, który każe nam uważać go za ojca i twórcę europejskiego humanizmu.

Potężna rewolucja kulturalna, która w ciągu w. XV dokonała w Italii całkowitego przeobrażenia poglądu na świat przez odrodzenie cywilizacji i kultury starożytnych Greków i Rzymian i stała się punktem wyjścia dla rozwoju nowoczesnego świata, słabą zaledwie odgłosy znalazła w północnej i zachodniej Europie: scholastyka, barbarzyństwo języka i stylu na uniwersytetach, obskurantyzm w szkołach, klasztorach i kościołach tłumili wszelkie żywsze oznaki nowego ruchu. Erazm z Rotterdamu z niezwykłą, jak na swój charakter, odwagą podjął walkę o humanizm. W licznych traktatach, listach, satyrach uderza w scholastykę i barbarzyństwo, żąda szacunku dla oświaty, opartej na kulturze klasycznej, owocnie zachęca do gorliwego uprawiania studiów naukowych i literackich, szerzy zamilowanie do tych studiów; jest pierwszym na Północy Europy



Erazm z Rotterdamu (1523)  
(portret Hansa Holbeina, Louvre, wg. Sandys,  
A history of class. scholarship, 1908, II).

propagatorem humanistycznego wychowania i wykształcenia, twórcą pierwszego programu tego wychowania. Mimo zaciekłego oporu wszystkich wrogów humanizmu walkę tę zakończył Erazm tryumfem: u schyłku swego życia ujrzał u swych stóp zjednoczoną w kulcie dla *humanitas* Europę.

Trudno jest ująć w ramach artykułu całokształt pięćdziesięcioletniej pracy Erazma dla humanizmu i kultury: jako obdarzony wielkimi zdolnościami filologicznymi wydawca autorów starożytnych — pogańskich i chrześcijańskich, wyzwolił on Europę od monopolu wydawniczego Włochów i stworzył podwaliny pod dalszą działalność w tym kierunku. Najtrwalszą zdobyczą filologiczną Erazma było stworzenie jednolitego systemu pronuncjacji, wymawiania dźwięków alfabetu greckiego i rzymskiego, systemu, który stosujemy po dzień dzisiejszy. Erazm był nie tylko wkrzesicielem pozaalpejskiego humanizmu, lecz także jego gorliwym obrońcą przed zarzutami barbarzyństwa i nadal hojnie przez dumnych humanistów włoskich szafowanymi. W ogóle w stosunku do włoskiego humanizmu mimo holdów, jakie złożyła mu Italia w czasie jego podróży w r. 1506, stanął Erazm w zdecydowanej opozycji: główna batalia wypadła na polu sporu o styl literacki (oczywiście języka łacińskiego). Erazm wystąpił przeciw forsowanej przez Włochów manierze ślepego naśladownictwa Cyserona i zwycięsko przeprowadził postulat naturalności stylu i języka.

Główną jednak rolę — przynajmniej w mniemaniu współczesnych — odegrał Erazm na terenie teologii, a raczej tej jej gałęzi, która dziś nosi miano filologii biblijnej. Erazm w swej zacietej walce ze scholastyką dążył do restytucji „prawdziwej filozofii chrześcijańskiej“, opartej na prawdziwym rozumieniu Ewangelii i nauki Ojców Kościoła, a przede wszystkim na zdrowiej etyce — w przeciwstawieniu do sztuczności koncepcji scholastycznych i moralnego zakłamania ich głosicieli. Jako szczerzy humanista i filolog zrywa on z metafizyką, a w środku zainteresowań stawia człowieka, jego duszę i jego sumienie. Niestety, obdarzony zupełnie niefilozoficznym i niesystematycznym charakterem intelektu, nie był w stanie sformułować swych idealów w zwarty kanon doktryny teologicznej, jak to uczynił Marcin Luter. To też ta strona jego działalności nie miała poważniejszych skutków i nie wywołała większego echa. Genialnie śmiały i potężnym w działaniu był natomiast czyn Erazma na polu filologii biblijnej — pierwsze wydanie drukiem Nowego Testamentu. W wydaniu tym zrealizował Erazm postulat swej epoki, której wybitni przedstawiciele stale wskazywali na kompletny brak znajomości oryginału greckiego Nowego Testamentu nawet w kołach teologicznych, jak również na niedokładności, spaczenia i jawne sprzeczności ogólnie przyjętego tekstu łacińskiego (t. zw. *Wulgaty*) z protekstem hebrajskim i greckim. Nowy Testament Erazma przedstawiał tekst grecki oczyszczony i skorygowany przy pomocy wszelkich rozporządzalnych środków krytyki filologicznej oraz własne tłumaczenie łacińskie wydawcy. Tłumaczenie to wolne było od niedokładności stylowych i rzeczowych *Wulgaty*, a zwłaszcza jej nieznośnych dla humanisty solecyzmów i barbaryzmów. Tekst Erazma pozostał mimo hurzy sprzeciwów zachowawczych sfer kościelnych podstawą następnych edycji aż do połowy w. XIX (Lachmann).

Przeszło połowę swego życia spędził Erazm na wędrówkach: nie wolne były od nich i późniejsze lata, chociaż poprawa wa-

runków materialnych oraz tryb życia i pracy zmuszały go do poszukiwania stałego kąta. Ale zawód profesorski w Cambridge ciąży mu zbyt, przenosi się więc do Bazylei — ogniska wydawniczego, znanego każdemu bibliofilowi z druków Amerbacha, Frobenia, Cratandra; — stąd ucieka do Louvain — nęci go tam ruch humanistyczny, coraz żywiej w tym mieście pulsujący: wspiera go, służąc pomocą i radą przy reorganizacji studiów na tamtejszym uniwersytecie. Tu zastaje go też wybuch reformacji luteranńskiej. By zrozumieć stanowisko Erazma wobec rozpętanej walki religijnej, trzeba ponownie uświadomić sobie wszystkie cechy jego charakteru, charakteru typowego uczonego: krytyczna nieufność, ugruntowana tak częstymi zawodami w pracy naukowej, brak wyraźnych przekonań — specyficzny dla prezydenta międzynarodowej republiki humanistycznej, wrodzona każdemu intelektualistom niechęć do brutalnej walki, równie wrodzony każdemu racjonalistom brak mocnej, nie ulegającej żadnym wątpliwościom wiary. Jasne jest, że człowiek tego rodzaju nie mógł znaleźć właściwego miejsca ani w otoczeniu Lutra — nb. znacznie od niego młodszego i początkowo bardzo potulnie tytułującego Erazma mistrzem — ani też w szeregu ludzi tego pokroju co św. Ignacy Loyola. A jednak Erazm został w ten sposób uwikłany: szermierz humanizmu wyśmiewał i zwalczał scholastykę, przeciwstawiał swe własne doktryny moralne nauce i praktyce kleru, burzył autorytet Kościoła, głosił aż nadto często potrzebę reformy religijnej, — a więc „Erazm zniósł to jaje, które wylął Luter“ — twierdzili obrońcy katolicyzmu. Mimo to Erazm do obozu reformacji nie przeszedł: program Lutra nie bardzo godził się z jego poglądami na reformę, no i w obozie, którym dowodził Luter, miejsca na dwóch wodzów nie było. Nie mniej przeto, mając zbyt wiele wspomnień o przykrościach, jakich mu nie oszczędził obecni wodzowie kontrreformacji, nie mógł się opowiedzieć otwarcie za nimi. A brutalny przebieg sprawy napelniał go coraz większym niepokojem o los rozkwitłych za jego sprawą „sztuk i nauk“, oraz większą odrazą do obu stron walczących. To stanowisko zmusza wielkiego humanistę do opuszczenia Louvain — sztabu głównego katolików — i do powrotu do Bazylei. Mimo to dłuższe milczenie w sprawie wstrząsającej posadami całego świata było dla władcy humanistycznej Europy, autora licznych pism teologicznych niemożliwe. Po ciężkiej walce wewnętrznej wymierza Erazm pierwszy cios sprawie Lutra, godząc *Rozprawą o wolnej woli* w najczulszy punkt doktryny luteranńskiej. Skutkuje to jak kij w mrowisku, Erazm staje się objektem nieobliczalnych ataków strony luteranńskiej — i mimo to inwektyw partii katolickiej, nadal nieprzejednanej. Erazm nie czeka z odpowiedziami: dziś jeszcze przykro jest czytać te pamflety bardziej jadu niż mocy dowodzenia pełne. Nie ustępowali mu w tym co prawda przeciwnicy, wśród nich sam Luter i wierny jego giermek — Ulrich von Hutten. No, ale u Lutra przebiega żelazna, chłopskim uporem zaprawiona wiara w słuszność swych słów. Dopóki Erazm w pierwszej swej diatrybie broni własnej wiary w niezależność humanistycznego człowieka, czuje się żywsze tętno. W następnych — nie znajdujemy już nic prócz podrażnionej żółci. I o ile niesprawiedliwa była strona katolicka nadal zaczeplając Erazma, gdyż przez rzucenie swego ważkiego wpływu na szalę sprawy Kościoła, wielką jej oddał przysługę, — o tyle słuszne było zdanie katolików, że herosem Erazm w tej walce się nie okazał.

Lecz Erazm nie był tylko filologiem i teologiem. Mistrz żywego, barwnego i eleganckiego stylu łacińskiego, był literatem

czytany i podziwiany przez współczesnych i potomnych. Jako jeden z najlepszych naśladowców — i tłumaczy — znakomitego greckiego satyryka Lukiana (II w. po Chr.) za teren swej działalności literackiej obdarł Erazm satyrę: rysy satyryczne nadawał nieraz i poważnym traktatom. Niezapomnianą postacią jest taki Nosoponus z traktatu o stylu cyceroniańskim, opętany manią „cyceroniąską“ i piszący list z prośbą o zwrot pilnej książki w ciągu... kilku miesięcy, byłby nie uchybić regułom stylu. Talent satyryczny i narratorski Erazma zabłysnął jednak przede wszystkim w t. zw. *Colloquia* czyli „Wzorach rozmów towarzyskich“. Zbiorek ten przeznaczony pierwotnie dla adeptów humanistycznego wychowania w celu ułatwienia nabycia biegłości w łacinie jako języku potocznej rozmowy — a więc swego rodzaju renesansowy Ollendorff — z czasem przemienia się na szereg dialogów, obrazków, sketchów jakbyśmy powiedzieli, łączących w sobie ciężkość antycznej satyry z pewną trudną do naśladowania barwą, nieuchwytnym kolorytem malarskim rodzajowych scenek, tak właściwego holenderskiej sztuce i najlepiej nam znanego z malarstwa tego kraju. Tegoż rodzaju jest zabawna satyra na wszelkie warstwy i stany społeczne, również na formach antycznych wzorowana, lecz nową napelniona treścią — „Pochwała Głupoty“ (*Encomium Moriae*), w której żartobliwy paradoks kojarzy się z pełną dziwnie dobrośliwym uśmiechem satyrą obyczajową.

I *Colloquia* i *Pochwała* doczekały się zasłużonego żywota: setki wydań i mnóstwo tłumaczeń na wszystkie niemal języki europejskie aż po dzień dzisiejszy sięgających zdają się obiecywać i współczesnemu czytelnikowi, że nie pożałuje zajrzenia do ulubionej lektury przeszłych stuleci.

Erazm był Petrarą Północy: nie dlatego oczywiście, że w swej strukturze psychicznej, a zwłaszcza małostkach był ludzako do mistrza Francesco podobny, lecz dlatego, że podobnie jak Petrarca przed półtora wiekiem łamał zapory i torował drogę potężnemu prądowi Odrodzenia i humanizmu w Europie południowej, tak Erazm na Północy w czasie swej półwiekowej niemal hegemonii nad Europą rozbił groźne twierdze średniowiecza, a nowym prądem nie tylko utworował drogę, lecz także skierował je na to koryto, którym mimo wszelkich zahamowań i okrążeń i dziś jeszcze płyną. Które z tych zadań było trudniejsze i donioślejsze, niemożliwe jest rozstrzygnąć. Nie ulega jednak wątpliwości, że postać Petrarca jest bez porównania żywsza w świadomości naszego kulturalnego świata niż szara i przyblakła sylwetka filologa Rotterdamskiego. Ale otóż i w tym zawiera się wielkie podobieństwo obu humanistów: Petrarca żyje w naszej świadomości nie jako twórca epoki humanizmu, nie jako władca swych czasów, jako myśliciel, humanista i działacz (jak go pięknie określił G. Voigt w *Die Wiederbelebung des klass. Altertums*, Berlin 1894), lecz jako piewca Lauri, a więc w tej części swej twórczości, którą i sam najmniej cenil i która — trzeba to przyznać mimo całego uznania dla Muzy sonetów — nie wytrzymuje porównania z epokowym dziełem odrodzenia Europy. Podobnie i uczeń Petrarca Boccaccio bardziej znany jest nam jako twórca swawolnego *Decamerona*, niż jako autor *Genealogia deorum gentilium*. Tak i Erazm najdłużej i najbezpośredniej działa na potomnych jako mistrz stylu łacińskiego, jako autor *Colloquia* i *Moria*. O jego epokowej roli przypominają sobie ludzie raz na sto lat — w roku jubileusza.

WŁ. GORDZIEJEW

Warszawa, 8 czerwca 1936.

## REFORMA NAUKI HISTORII W Z. S. R. R.

Zarówno Marx jak i jego uczniowie chętnie mówią o poznańczej wartości wiedzy historycznej. Z punktu widzenia marksizmu zjawiska historyczne, przynajmniej w zasadzie, stanowią empiryczne podłoże każdej słusznej koncepcji socjologicznej i związanej z nią ideologii politycznej. W rzeczywistości jednak, w procesie dalszego rozwoju marksizmu, szczególnie na gruncie rosyjskim, ten poprawny metodologicznie pogląd uległ pewnej metamorfozie. Sowieccy uczniowie Marxa badania historyczne traktują raczej jako środek pomocniczy, mający dostarczyć pewnych ilustracji do definitywnie ustalonych pojęć socjologii i polityki, które same już żadnej dyskusji nie podlegają.

Naturalną konsekwencją tego dogmatycznego nastawienia bolszewickich teoretyków historii była dążność do zyskiwania materiału historycznego prawie wyłącznie dla celów socjologii ogólnej. Ten charakterystyczny kierunek historjografii sowieckiej reprezen-

tował jeszcze za życia Lenina prof. M. N. Pokrowski i jego szkoła. Wskutek negatywnego stosunku ortodoksalnych bolszewików do liberalizmu naukowo-poznańczego Pokrowski poniekąd odgrywał rolę intelektualnego dyktatora wśród współczesnych z nim przedstawicieli myśli historycznej kraju. W pracach Pokrowskiego<sup>1</sup> historia całkowicie przeistoczyła się w dzieje „formacji społeczno-ekonomicznych“ i w tej skrajnie postaci przedostała się do szkolnych podręczników ZSRR.

Hasło gruntownego zrewidowania obowiązujących dotychczas w ZSRR poglądów na wiedzę historyczną nie mogło oczywiście być wyrazem inicjatywy prywatnej. Reforma historii istotnie odbyła się przy bezpośrednim udziale Kremlu i „samego Stalina“, którego dyrektywy znalazły swój wyraz w uchwałach Sownarkomu ZSRR oraz Centr. Komii-

<sup>1</sup> np. *Nauka historyczna a walka klas.*

tetu wykonawczego Partii Komunistycznej z dn. 16 maja 1934 r., dotyczących „Wykładania historii cywilnej w szkołach ZSRR”.

Wspomniane uchwały zawierają jak najbardziej krytyczną ocenę istniejących w ZSRR podręczników historii z punktu widzenia przedewszystkiem dydaktyki historycznej. „Zamiast wykładu historii cywilnej w formie żywej a zajmującej” — brzmią zdania urzędowego dokumentu — „z opisem ważniejszych zdarzeń i faktów w ich kolejności chronologicznej, z charakterystyką działalności historycznych — uczniom przytacza się abstrakcyjne definicje formacji społeczno-ekonomicznych, zastępując w ten sposób zwężony wykład historii cywilnej przez oderwane schematy socjologiczne”. Jest rzeczą oczywistą, że wadliwa organizacja nauczania historii w szkolnictwie sowieckim pozostaje w ścisłym związku z zasadniczymi poglądami na samą treść i metodę badań historycznych. Liczne publikacje urzędowe oraz artykuły autorytatywnych dzienników sowieckich konstatają pewnego rodzaju upadek nauki i kultury historycznej kraju, zgodnie oskarżając szkołę Pokrowskiego. Ta szkoła zainicjowała i rozpowszechniła „lichą socjologię”, która opanowała rzetelną i konkretną wiedzę naukową. Jest niezmiernie charakterystycznym, iż za przykładem sfer urzędowych chętnie poszli sowieccy krytycy literacy, którzy zaczęli „wulgarny socjologizm” zawzięcie tępić nawet w utworach o treści artystyczno-literackiej.

Z właściwym sobie rozmachem rząd sowiecki za pośrednictwem cytowanej już uchwały Sownarkomu i WCIK'u WKP(b) ogłosił konkurs na nowe podręczniki historyczne, wyznaczając na ten cel duże premie pieniężne<sup>2</sup>. Przedłożone specjalnej komisji rządowej konspekty nowych książek szkolnych również nie uczyniły zadość niespodziewanie wysokim wymaganiom rządu sowieckiego. Szczególnie smutny okazał się los podręcznika historii ZSRR, opracowanego przez kolektyw historyków rosyjskich: Wanaga, Grekowa, Pankratowa i Piątkowskiego. Ogłoszone przez Sownarkom „Uwagi o konspekcie podręcznika z historii cywilnej w szkołach ZSRR”, podpisane przez Stalina, Żdanowa i niejącego już Kirowa nie szczędzą ironicznym a trafnych określeń i hezliżnośń demaskującą płytkość myślenia, banalność poglądów oraz chwiebnośń terminologii historycznej autorów podręcznika. Nieprzejmna postawa Kremlu w kwestii reformy historii wywołała duży ciekawych komentarzy też przeważnie urzędowego pochodzenia. Podczas gdy partja komunistyczna przywiązuje kolosalne znaczenie do prawidłowej organizacji nauczania historii w szkołach — pisze prasa ZSRR — istniejące podręczniki tej nauki budzą w dzieciach wstępn i wywołują zmęczenie swoim fałszywym schematyzmem socjologicznym. Dzisiejsza młodzież rosyjska, która nie zna wcale Rosji przedrewolucyjnej, powinna być wychowana w atmosferze rzetelnej wiedzy historycznej, gdyż inaczej nie zrozumie swej światowej misji rewolucyjnej oraz nie nauczy się kochać pięknych kart historii przeszłości własnego narodu. Dokładnym sformułowaniem i pogodyeniem tych sprzecznych poniekąd tendencji ideowych zajęli się najwybitniejsi publicyści ZSRR, wypowiadając przytem szereg rewelacyjnych uwag krytycznych.

Szczegółową analizę i krytykę „lichego socjologizmu” sowieckiej historiografii, krytykę, połączoną z bardzo wnikliwą oceną historii ze stanowiska teorii poznania, zawiera olbrzymi i pod wielu względami znamienity artykuł N. Bucharina, wydrukowany w *Izwiestjach* (27. I. 36.) p. t. „Czy jest nam potrzebna marxistowska nauka historyczna?” Poglądy Bucharina są szczególnie interesujące i to z dwóch powodów. Stosunkowo niedawno Bucharin, ongiś naczelny przedstawiciel ideologii bolszewizmu, z wielkim trudem potrafił zrehabilitować się przed Stalinem, publicznie rezygnując z własnych poglądów, aby uniknąć zaliczenia do opozycji. Poza tem jest to autor o dużym wykształceniu „europiejskim”, doskonale władający współczesną terminologią naukowo-filozoficzną. Głównym zadaniem artykułu Bucharina jest m. i. „rozprawienie się” z poglądami na historję M. N. Pokrowskiego i jego szkoły. Już wiemy, że te poglądy w swoim czasie były niemal obowiązujące jako wyraz najbardziej ortodoksalnego ujmowania problemu wiedzy i metodologii historycznej. Z niezbyt pospolitą w ZSRR kurtuazją literacko-publicystyczną Bucharin podkreśla „historyczne” zasługi zmarłego uczonego. Był to pierwszy historyk-marxista, który opanował całokształt historii Rosji i skutecznie zwalczał wroga bolszewizmowi koncepcje takich autorów, jak Karamzin, Cziczerin, Szczepow, Kluczewski, Milukow i nawet Plechanow. „Wszyscy trafili pod ostrą brzytwę jego bezlitośnej analizy krytycznej”. Lecz Pokrowski sam obecnie stanowi tylko „objekt” historii — z melancholijną ironją żartuje Bucharin,

gdyż uległ „odchyleniu” i „zwulgaryzował historję”, zniekształcając jej koncepcję marxistowską.

Bucharin poddaje krytycznej analizie m. i. teoretyczno-naukową postawę Pokrowskiego. Odrzucając obiektywizm naukowy jako przesąd burżuazyjny — Pokrowski naukę traktował jako specjalny wyraz walki politycznej; historja dla niego była „polityką obaloną w przeszłość”. Z tego stanowiska wartość sądu historyka zależała jedynie od tego, w jakiej mierze ten sąd wyraża polityczną tendencję klasy lub grupy społecznej, którą dany historyk reprezentuje. Bucharin stwierdza z całą słuszością, że stanowisko Pokrowskiego prowadzi do „wulgarnego wolutaryzmu” i że hasło obiektywizmu poznańczego nie jest tylko bronią w ręku rozkładającego się kapitalizmu burżuazyjnego. Bucharin nawet mówi, że obiektywna ocena zjawisk historycznych wcale nie jest wyłącznym przywilejem proletariatu, ponieważ, owszem, była dostępną i dla badaczy burżuazyjnych wówczas, gdy europejska burżuazja przeżywała swą epokę heroiczną. Często zniekształcanie historii przez współczesnych przedstawicieli przeżywającej okres upadku nauki burżuazyjnej nie stanowi zdaniem Bucharina dostatecznej racji do tego, aby obiektywizm naukowy uważać za jakiś mit politycznie szkodliwy. Przeciwnie: autorytet wiedzy proletariackiej, która nie obawia się prawdy historycznej, tylko wzrośnie przez prawidłowe sformułowanie idei bezstronności poznawczej. W rozważaniach głównego teoretyka dzisiejszego bolszewizmu logicznie tkwi rezygnacja z klasowego relatywizmu w ocenie wydarzeń dziejowych oraz duży uznanie dla zasady autonomii naukowo-poznawczej. Nie posuwając się zbyt daleko w swych rozważaniach teoretycznych Bucharin woli powołać się na autorytet „wodzów”. Lenin, który jeden mógł sobie pozwolić na zdrowy konserwatyzm, po przeczytaniu książki Pokrowskiego *Nauka historyczna a walka klas* zauważył, że trzeba ją uzupełnić opisem faktów i dodać tablice chronologiczne. Inaczej — dodał ostrożnie — istnieje ryzyko nadużywania abstrakcyjnego teoretyzowania wbrew danym empirycznym. W swej ostatniej mowie przed śmiercią Pokrowski wyznał, że jego metoda istotnie była nie naukową, lecz zgadzała się z leninizmem. Gdyby tak było — ironizuje urzędowa gazeta — teoria Pokrowskiego byłaby nauką; lecz to, co jest antynaukowe, jest zarazem antyleninizmem, który nawskroś jest ściśle naukowy.

Wychodząc z założenia, że „w podręczniku, podług którego miliony dzieci będą się zaznajamiali z przeszłością swego kraju, każdy wyraz winien być rozważony”, sfery rządowe ZSRR stwierdzały, że „tymczasem mamy tu do czynienia z szeregiem niedbale sformulowanych i sformułowanych”. Błędne byłoby przypuszczenie, że rządowi chodzi tu jedynie o dydaktykę i metodologię nauki historycznej. Komunikaty rządowe zupełnie otwarcie akcentują tkwiący w reformie historii pierwiastek utylitaryzmu politycznego. Gruntowna rewizja utartych poglądów na przeszłość narodów ZSRR opiera się o sensacyjne hasło, że komunista powinien szanować wartościowe objawy historycznej roli własnego narodu. Aby bronić kraju, należy go kochać i to w perspektywie dziejowej. „Dialektyczna” zręczność wodzów bolszewizmu objawiła się w tym, że powrót do pewnego konserwatyizmu narodowego jest zarazem powrotem ku ortodoksalnemu marxizmowi w jego „czystej” postaci. Toteż nie dziwnego, że kosmopolityczna mentalność Karola Radka (artykuł w *Prawdzie* z dn. 27. I. 36.) nie pozwoliła mu należycie ocenić ani dociępniej koncepcji własnego rządu, ani też wykorzystać jak to zroził Bucharin „ostry kurs” w stosunku do odchyleń lewicowego oraz marxistowskiego snobizmu niefortunnych historyków. Raczej publicysta niż myśliciel — Radek ogranicza się do wypowiedzenia jakoś „policyjnie” brzmiących ostrzeżeń pod adresem historyków, podkreślając nieomyślność zasadniczych koncepcji Marxa i Lenina. Mimo tej nieomyślności historycy sowieccy mają olbrzymie pole działania w postaci niezbadanych przez „wodzów” materiałów z historii ludów Wschodu, nieznanych ani Marxowi ani Leninowi. Istnieje — powiada Radek — olbrzymi kompleks instytucyj historycznych, zorganizowanych w tym celu. W ten sposób łatwo uniknąć kolizji z zapatrywaniami na historję Stalina i rządu, których sukcesy polityczne dowodzą, iż są oni w posiadaniu prawdy historycznej.

Jeżeli płytkie i dogmatyczne argumenty Radka świadczą raczej o braku zrozumienia dla doniosłości nowego kursu ZSRR w dziedzinie nauki i propagandy historycznej — artykuł B. Bystrianskiego p. t. „Krytyczne uwagi o podręcznikach z historii ZSRR” zasługuje na specjalne wyróżnienie. Przewszystkiem dlatego, że jest to artykuł napisany najbardziej fachowo ze stanowiska historyka i dlatego obfitujący w spostrzeżenia rzeczowe i konkretne. I nareszcie, Bystrianski doskonale odczuł dążenie swego rządu do stworzenia jakiejś harmonji pomiędzy radykalizmem społecznym a zdrową ambicją narodową. Swoisty internacjonalizm wcz-

szego bolszewizmu stwarzał atmosferę pewnego upokorzenia dla wielkorosyjskiej wielkości ZSRR. Obudzenie jej duszy narodowej obecnie jest środkiem koniecznym dla skutecznej obrony terytorjum Związku sowieckiego. Rozważania Bystrianskiego pod tym względem całkowicie pokrywają się z oficjalnym oświadczeniem *Prawdy*, że w konstelacji Republik sowieckich — Republika Rosyjska stanowi gwiazdę „pierwszej wielkości”. Systematycznie i bezstronnie analizując materiał historyczny ten autor konsekwentnie zwalcza tendencyjne koncepcje historyków „grupy Wanaga” wykazując ich pseudonaukowość. Historyczne okrucieństwa szczeplu wielkorosyjskiego — twierdzi Bystrianski — nie powinny zasłaniać przed nami jego zasług rewolucyjnych i jego twórczej i konstruktywnej roli politycznej wśród licznych ludów Wschodu i Południa, kulturalnie biernych lub zdegenerowanych. Spekulacje anarchistyczne lub jakieś inne wogóle nie są rzetelną pracą naukową. Już Bucharin szczegółowo i konsekwentnie uzasadnił tę ostatnią tezę, Bystrianskiemu zaś chodzi o jej zilustrowanie na przykładach konkretnych.

„Najpoważniejsza wada podręcznika” mówi między innymi „polega na tem, że jego autorzy nie wykazali postępowego znaczenia *sobirania* *ziemi rosyjskiej*, stworzenia jądra rosyjskiego państwa narodowego. W podręczniku opowiada się o rabunkach i gwałtach książąt moskiewskich tak, iż uczniowie nie mogą zrozumieć, że tworzenie narodowego państwa rosyjskiego stanowiło krok naprzód w rozwoju historycznym.

## STARSI SOBIE, MŁODZIEŻ SOBIE

Różne są nieporozumienia, które dzielą dzisiejszą młodzież i starsze pokolenie. Wśród nich miążące dość poczesne zajmuje wyraźna obojętność, z jaką młodzież odnosi się do rewolucyjnych zasług dzisiejszych ludzi dojrziałych i przekwitających ku starszym latom. Bez przesady można powiedzieć, że to co z tego okresu przemawia do serca i wyobraźni młodych, to Legjony i ich zbrojny wysiłek, skoncentrowany w żywej i zarazem legendarnej postaci Piłsudskiego. Reszta — dla tej młodzieży właściwie się nie liczy. Może to jest dobrze, może niedobrze, ale tak jest. Kto z tego stanu rzeczy wyciągnął naukę i zrozumiał go, — ma spokój, bo może mieć stosunkowo łatwo uporządkowany stosunek do młodzieży, nie potrzebuje robić ze sobą samym kompromisu uczuciowego, słowem, może kochać młodzież bez zastrzeżeń (bezsporne zaś jest to, że młodzież trzeba kochać). Kogo jednak trawi gorzeć, że młodzi niedoceniają zasług starszych, kto dąży do wpojenia młodzieży nietylko zrozumienia odległych faktów historycznych, ale jeszcze kultu dla spraw minionych, dla których sam ten kult żywi, ten już do śmierci nie zna spokoju, bo dzień po dniu zjawiać się będą nowe powody do smutku, coraz częściej będzie go „holalo serce”. Te wstępne refleksje zrodziły się z konkretnego przykładu następującej treści:

Młody krytyk literacki i równocześnie hacacz spraw mających bezpośredni związek z literaturą, dr. Wacław Kubacki, ogłosił niedawno w *Gazecie Polskiej* dwa artykuły p. t. „Sprawa Brzozowskiego”. Pod tym samym tytułem i w odpowiedzi na ten artykuł zabrał głos dr. Emil Bobrowski, znany działacz socjalistyczny i wydawca protokółów i aktów, dotyczących sądu partyjnego nad Brzozowskim. Chodzi jednak nie o to, co Bobrowski prostuje merytorycznie w wywodach Kubackiego, ale o to, co mówi przy sposobności tej sprawy i w odpowiedzi na niektóre uwagi Kubackiego, wypowiedziane również przy sposobności. Odpowiednie a interesujące nas w tej chwili słowa Kubackiego oraz replika spowodowana przez nie, mieszczą się w poniższym dłuższym ustępie artykułu dra Bobrowskiego, zamieszczonego w nrze 182 *Kurjera Porannego*. Czytamy tam (podkreślenia autora):

„Musimy stwierdzić, — pisze p. W. Kubacki — że w tym samym stopniu, co sprawa Brzozowskiego, *zbluda dla wchodzącego w życie pokolenia rewolucji i ochrana*. Na to niema rady... młode pokolenie chce otrzymać Polskę bez starych *zajętrzonej spraw i sporów*”. Czytam i nie mogę uwierzyć! Czyż między rewolucją i ochroną były jakieś „zajętrzone sprawy i spory”? Tylko tyle? Czyż młodzież polska nie zna, nie powinna znać dziejów walk rewolucyjnych budzącego się do życia proletariatu polskiego? Czy nazwiska Okrzei i Mireckiego i wszystkich innych bohaterów rewolucjonistów można poniżyć do roli uczestników „zajętrzonej spraw i sporów”? Może nie myślał tak p. W. Kubacki, może zachodzi jakieś nieporozumienie lub „lapsus calami”, niemniej czytelnik zwłaszcza mający „własne sprawy i rewolucję” — musi brać dosłownie to, co wydrukowano w „Gazecie Polskiej” i podpisano ceniom w literaturze nazwiskiem i może opowiadania o rewolucji, o szubienicach, więzieniu i katorżce traktować „śmiechem odrodzenia”. I to nnie holi najwięcej, że wspaniały okres lat rewolucyjnych, lat odrodzenia dążeń niepodległo-

W związku z tym tworzy się niesłuszny i niesprawiedliwy obraz wypadków początku XVII wieku. Dymitr Samozwaniec I i II są potraktowani jako wodzowie powstań chłopskich, podczas gdy ci awanturnicy emisariusze państwa polskiego tylko zyskiwali powstańcą masę dla własnych celów reakcyjnych. Zdarzało się już nam mówić na temat antimarxowskiego i swoistego lewicowego internacjonalizmu naszych historyków, którzy gotowi upatrywać bojowników o wyzwolenie chłopów w oddziałach obcej szlachty, która okupowała nasz kraj w *smutnoje wriemia* na początku wieku XVII, zaś popolięte ruszenie Minina i Pożarskiego nazywają wprost armją kontrrewolucyjną”.

Niemniej płytkie i anarchistyczne oceny autorzy podręcznika stosują zdaniem Bystrianskiego do reform Piotra Wielkiego, akcentując barbarzyństwo reform a niedoceniając wbrew Engelowi i Leninowi ich olbrzymiego znaczenia. O dekabrystach „grupa Wanaga” mówi jako o „chciwych eksploatatorach”, lecz Lenin nazywał ich „szlachciami-rewolucionistami”. Twierdzenia tego rodzaju, że „Lomonosow był ideologiem szlachty” oraz że osobisty humanitaryzm cara Aleksandra II nie wpłynął wcale na zniesienie pańszczyzny w 1861 r. krytyk podręczników stanowczo zalicza do rzędu banalnych kłamstw. Polskiego czytelnika zainteresuje uwaga Bystrianskiego, że młodzi historycy przeoczyli demokratyczny styl polskiego powstania 1863 r., mimo że Lenin mówił o nim z dużym uznaniem.

ANDRZEJ SURKOW

ściowych miałby — wedle sądu p. W. Kubackiego — zaginąć w niepamięci, miałby stać się obcy młodemu pokoleniu. Przecież nie wszystkie ideały tego okresu zrealizowano, wszak dążenia do Niepodległej Polski, opartej na sprawiedliwości społecznej nie zamary, lecz stanowią dalszy etap pochodzą do duchowego i materialnego wyzwolenia Świata Pracy w wolnej Polsce. I dlatego młode pokolenie, szukające nowych dróg czy rewolucji, powinno znać prace swych ojców, znać prawdziwe dzieje rewolucji 1905 — 1908 roku”.

Oczywiście, Kubacki — jak słusznie przypuszcza dr. Bobrowski — nie zamierzał pomniejszać bohaterskich imion Okrzei i Mireckiego, jego słowa wyrażają zgola inną myśl, tę właśnie, o którą chodzi i w niniejszych uwagach. Rewolucja i wszystko, co się z nią wiąże, jest i będzie na zawsze tematem badań dla historyków, w swoim zakresie będzie źródłem wzruszeń i rozpamiętywań dla uczestników rewolucji. Ale nie silmy się wylumaczyć młodzieży, że łączą ją z rewolucją jakiegokolwiek inne więzy poza normalną więzią tradycji i ciągłości zdarzeń historycznych.

Rewolucja z r. 1904 — 1908 miała swoje dwa oblicza: klasowe i niepodległościowe, aby ostatecznie w decydujących latach poprzedzających wojnę wystąpić dzięki Józefowi Piłsudskiemu o obliczu jednolitym — niepodległościowo-militarnym, a w formach swojego czynu skupić się najzupełniej w Organizacji Bojowej, nie wszystkim przywódcem rewolucyjnym milej i sympatycznej.

To, co w rewolucji było klasowe, nie może liczyć na bliższą uwagę dzisiejszej młodzieży, która ma przed oczami donioslejsze zagadnienia społeczne w porównaniu z tamtymi czasami. Ani kapitalizm nie jest tym samym co wówczas kapitalizmem, ani sprawa robotnicza nie przypomina w swoich ostrych przejawach ówczesnego stanu. Lokaut dzisiejszy nie jest równoznaczny z lokautem lat rewolucyjnych, strajk okupacyjny, właściwa dziś broń robotnika, jest nowością o innym znaczeniu niż dawny strajk. Wreszcie co najważniejsze, żywiołowy charakter bezrobotnia, na tle beznadziejnego kryzysu, przerasta wszelką siłę wspomnień walki robotniczej. „Klasowy” obraz tamtych czasów spotka się w chwili obecnej z ironicznym komentarzem: a dziś? Drogie wspomnienia ciężkich zmagań w latach rewolucyjnych poprostu nie są w stanie zaimponować dzisiejszemu robotnikowi, zwłaszcza temu, który ani przed pójściem do wojska ani po opuszczeniu go nie znalazł dobrodziejstwa pracy i należy do pokolenia urodzonego w bezrobociu i dorastającego w bezrobociu.

Rewolucja miała także swój doniosły aspekt niepodległościowo-polityczny. Walczono z przemocą zaborczą, z policją zaborczą, z żandarmami carskimi — staramy się tłumaczyć młodzieży, która rodziła się w okresie wymarszu kadrowki z Oleandrów, z imieniem Józefa Piłsudskiego zrasła się w dzieciństwie, po raz pierwszy zrozumiała zjawisko wojny w r. 1919 — 20, a więc w państwie niepodległym, gdy pojęcie rewirowego i żandarma carskiego równało się jakimś egzotycznym obrazkom z ilustrowanej książki i to odnoszącej się — po rewolucji

<sup>2</sup> Cztery nagrody, z których pierwsza wynosi 100.000 rubli.

rosyjskiej — do czasów dalekich, praktycz- nie nie dających się sprawdzić.

Polski wiek XIX był jednolity przez swo- ją ciągłość wysiłków niepodległościowych, każde powstanie i każdy ruch rewolucyjny dal się podporządkować tej samej kategorii uczuć patriotycznych. Wiek XX zaczął się dla młodzieży dzisiejszej zwiastowaniem pol- skiej siły zbrojnej, powołaniem do życia nor- malnego państwa, obroną wojenną tegoż nor- malnego państwa. To jest najświeższe i naj- dostępne dla wyobraźni, to okazało się atrakcją pełną ostrej aktualności i swoście romantycznej przygody. Związać to wszystko z postacią Traugutta — rzecz najłatwiejsza w świecie dla ludzi „urodzonych w niewoli, okutych w powiciu“, ale niepomierne trud- na dla młodzieży urodzonej w wolności, wol- nej w państwie takim jak i wszystkie pań- stwa. A jeszcze w okresie, nad którym niepo- dzielnie zapanowała potężna osobowość Pi- lsudskiego. I jeszcze w obliczu tysiąca zagad- nień, których źródłem jest właśnie Polska niepodległa, nowa, czyli dla tej młodzieży prawie „stara“, przez nią zastana.

Wzruszające bywają opowiadania babci o zabawach i smutkach z jej dzieciństwa, ale bardziej pociąga i urzeka rzeczywistość za- baw, zapowiedzianych na godzinę piątą dzi- siejszego popołudnia i bardziej przejmują niepowodzenia dnia powszedniego. Przypo- mnijmy sobie jak to z okazji jubileuszu „wal- ki o szkołę polską“ pod zaborem rosyjskim, skrzyknięto do wielkiej sali warszawskiego kina Colosseum tysiące dzieci szkolnych i jak żalony był widok, gdy uczestnicy tych ofiar- nych zmagani starali się wzruszyć ucznia- ków swoimi przeżyciami i cierpieniami, a młode pokolenie ani wżab nie rozumiało, o co właściwie chodzi.

Nieporozumienie zaczyna się więc dla współczesnej młodzieży już na ławie szkol- nej, o ile zechcemy jej po naszymu, „doro- slemu“, eksplikować niedolę i zasługi mi- nionych pokoleń. Niema nieporozumienia, gdy zbliżymy się do niej w imię rzeczy przez nią widzianych, zasłyszanych i dotykanych. Dzisiejsza czapka ucznia gimnazjalnego, wierna kopja legjonowej maciejówki, posiada pełną wymowę, jest znakomicie pomyslanym praktycznym symbolem, pozwala bez więk- szego trudu wyjaśnić chłopcom, że wyrastają z tego pokolenia, które przyczyniło się do wolności. Kepi francuskich żuwaw, okrywa- jące głowy uczniów wyróżniającego się w ten sposób gimnazjum warszawskiego, jest już tylko szacownym anachronizmem, równie mało przemawiającym do wyobraźni chłopca jak historyczna broń wobec samolotu bojo- wego.

Z takich oto i im podobnych powodów będą coraz bardziej skazane na niepowodze- nie westchnienia starszych ludzi wobec świe- żo upieczonych maturzystów, że niby co tam twoja matura, — gły ja zdawałem, pytali dotkliwiej, i po rosyjsku trzeba było odpo- wiadać... Z tych także powodów nazwiska Okrzei, Mireckiego i innych bohaterów we- szły dla tej młodzieży do podręczników hi- storji obok nazwisk hetmanów, królów, wo- dzów, choć tak są żywe dla współczesni- ków walcących o wolność, dla ludzi pamięta- jących owe przełomowe dni, i tych wszyst- kich, którzy ogarniają współczesność cofnię- tą aż po tamte czasy.

Jeden z zwycięskich wodzów armji pol- skiej, postać na miarę rzymskiego Cyncyna- ta, gen. Żeligowski, w pamiętnej dyskusji sejmowej, gdy premier Kościłkowski powo- luywał się na wspomnienia czynów wojen- nych, oświadczył, że to jest przesłłość, a te- raz zaczyna się na nowo, bo rozmowy z chło- pami w wiosce kresowej przekonały genera- ła, jak dalece wszystko jest i powinno być na nowo. Nikt chyba nie sparafrazował lepiej postulat Marszałka Piłsudskiego — *réalité des choses* czyli życia przytomnego w dobie, gdy każdy dzień przemawia przedewszyst- kiem do wrażliwości młodych i najmłod- szych.

Dr. Bobrowski nie myli się, pisząc: „Prze- cież nie wszystkie ideały tego (rewolucyjne- go) okresu zrealizowano...“ Ależ oczywiście, nie wszystkie, co jednak ciekawie, to że tymczasem narosło coniemniara nowych idea- łów i nowych potrzeb. Urodziły się z dzisiej- szej rzeczywistości, z takiej Polski jako powstała z wojny i swoich powojennych przeobrażeń ustrojowych. To co z tamtych czasów pozostało niezrealizowane, musi być urzeczywistnione inaczej niż to pomyśleli lu- dzie tamtych czasów, a zapewne nie może już być urzeczywistnione przez tychże ludzi. W tem właśnie znaczeniu słuszność jest po- stronie Kubackiego i „Gazety Polskiej“ kła- rna za jego interpretację bierze odpowiedzial- ność.

Czy zresztą nie jest tak, żeśmy nie umieli, czy zapomnieli usunąć niejedną pozostałość z owych minionych lat niewoli, jakieś nawy- ki, które może śmieszko w nas naszą młodzież, jakieś sentymenciki, które nie już nie war- tają, a jednak są jakimś małym hamulcem w normalnym rozwoju nowego życia. Taką np. drobna rzecz a duże poczucie upokorze- nia, gdy się w upalne dni chodzi po ulicach

odradzającej się europejsko stolicy: doroz- karze stołeczni. Przypatrzcie się tym parja- som, odzianym w nieśmiertelną liberję z cza- sów rosyjskich, niewolnikom grubego pla- szczu sukienego, ostemplowanym jak Żydzi w średniowieczu, numerem na plecach. Dla- czego ten numer na ludzkich plecach wypi- sany już dwukrotnie po bokach dorozki i na obu latarkach? Żeby trwała tradycja legen- dy, że pijani oficerowie rosyjscy musieli ten numer mieć stale przed oczami i że to było potrzebne dla jakichś wygód policyjnych? Jeżeli do takich śladów niewoli mamy przy- wiązanie lub choćby zdolni jesteśmy je przeo- czytać, cóż dziwnego, że prawdziwie drogi jest ludziom walki rewolucyjnej kult bohater- stwa, że chcieliby go przeszczepić najmłod- szym pokoleniom i zrobić zeń dla nich źró- dło wzruszeń.

Wszystko jest jednak na nowo. Uderzyły nowe źródła nowej rzeczywistości, młodzież staje przy nich w swojej własnej zadumie, ożywiona swoimi wzruszeniami. Być może, że nas potrzebują znacznie mniej niż nam się to wydaje i niż pragnęlibyśmy, żeby nas potrzebowała. Być może, że nas słucha, a wysłuchawszy po swojemu tłumaczy nasze intencje i pouczenia. Jakkolwiek z tym jest, nie należy zamykać oczu na to tragiczne zja- wisko, że starsze pokolenie nie umiało czy też nie mogło zapewnić dzisiejszej młodzieży szczęśliwego przejścia w okres męskiej doj- rzalności i że ona sama musi podjąć trud za- łatwienia wielu spraw, których załatwienie przerosło siły ludzi sentymentalnie zamyślo- nych nad wzniosłą przeszłością.

STANISŁAW ROGOŹ



M. PASZYN

Murzynka

## WYSTAWA POLSKICH PLASTYKÓW W RZYMIE



J. DZIESLEWSKI

Staruszka

Niedawno zamknęła się w Rzymie, w Ga- lerii Przyjaciół Sztuki, mieszczącej się w palazzo Doria na placu Collegio Romano, wystawa polskich artystów-plastyków przeby- wających w stolicy Włoch. Urządził ją ruch- liwy związek artystyczny „Kapitol“, powsta- ły niedawno z inicjatywy malarza Jana Dzię- ślewskiego. Należy podkreślić odwagę i tu- pet organizatorów, którzy nie cofnęli się przed trudnościami i ryzykiem urządzania wystawy w trudnym okresie sankcyjnym. Wytrwałość ich została nagrodzona. Publicz- ność włoska odróżniła politykę od sztuki i stawiała się licznie na wezwanie polskich ar- tystów.

Wystawa nie reprezentuje żadnego zwarte- go kierunku. Zbyt wielkie różnice wieku i talentu dzielą poszczególnych wystawców. Poza tem wzrastali oni w różnych szkołach i tylko zbieg okoliczności zgromadził ich wspólnie na bruku rzymskim. Poziom wysta- wy bardzo nierówny. Obok prac doskonałych rzeczy zupełnie słabe. Rzeźba bije na głowę malarstwo. Wystawili swoje prace rzeźbia- rze: Bogdanowiczowa J., Dąbrowska Krystyna, Gosławski Józef, Madeyski Antoni, Pa- szyn Michał; malarze: Bakalowicz Stefan, Dzięślewski Jan, Mazurowski Wiktor, Mikul- ski Bolesław, Siemiradzki Leon oraz dekorat- or Kociemski Leonard.

Na pierwszy plan wybija się bezwzględ- nie prof. Antoni Madeyski, rzeźbiarz o eu- ropejskiej sławie, autor sarkofagów królowej Jadwigi i Władysława Warneńczyka na Wa- welu, który pomimo, że wystawił jedynie kil- ka małych płaskorzeźb i medal pamiątko- wych, stanowi klasę dla siebie.

Drugą zwartą grupę stanowią rzeźbiarze Gosławski Józef i Paszyn Michał. Nie jest to tylko moja opinia osobista, ale podziela ją również znani krytycy włoscy Scarpa i Nepi.

Przewodzi tej grupie Józef Gosławski, młody krakowianin, poszukujący pracą w materiale nowych form. Poprzez dozę lek- kiej, umiejętnej przesady wydoływa mocne formy rzeźbiarsko-architektoniczne. Te jego dążenia uwydatniają się jaskrawo w „głowie“ w pniu akacji, będącej najlepszym ekspona- tem wystawy. Bardzo ciekawe, doskonale wykonane pod względem technicznym, pro- jekty rysunkowe pomnika na grób Żerom- skiego w Puławach w kamieniu oraz dwóch ołtarzy kościelnych w drzewie. Autor ulega tu bezwiednie wpływom Szukalskiego i Szczepkowskiego. Szczególnie w projekcie na grób Żeromskiego uwydatnia się wpływ Szukalskiego. Jednak ostatnia praca Gosła- wskiego, głowa Rzymianina w gipsie, przygo- towana do marmuru dowodzi, że młody rzeź- biarz, obcując na gruncie rzymskim ze szko- łą klasyczną, otrząsnął się z obcych wpły- wów i odnalazł swą indywidualność. Formę

rzeźby Gosławskiego cechuje zamknięcie te- matu w szerokiej bryle i mocny, wyrazisty rysunek.

Bardziej skryzalizowany talent rzeźbiar- ski reprezentuje Michał Paszyn, uczeń prof. Breyera z Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięk- nych. Od kilku lat pracuje w rzymskiej pra- cowni znanego rzeźbiarza włoskiego prof. Ar- dini, zaznajamiając się z najstarszymi tradi- cjami techniki rzeźby w marmurze i w ka- mieniu. W szeregu wystawianych rzeźb Pa- szyna wybijają się na pierwszy plan prace w ciemnym kamieniu (*bigio antico*). W portre- cie księżnej malajskiej utalentowany autor wydołył pewien mistycyzm wschodu, nawią- zując umiejętnie do tradycji starej sztuki indyjskiej. W białcie młodej murzynki, te- macie bardzo dziś aktualnym w terenie wło- skim, Paszyn pokazał całą swą wiedzę w ob- róbce ulubionego ciemnego kamienia, synte- tyzując formę i nie rozbijając architektury bogactwem bardzo efektownego uczesania. Portret Kubaczyka ciekawy w wyrazie i mocny w budowie. Kompozycja św. Krzys- tofa bardzo interesująca. Niemylim zgrytem w zbiorze dobrych prac Paszyna jest poli- chromowany portret panny M. M., będący próbą nawiązania z renesansem włoskim. Ten rodzaj cukierkowej sztuki wyraźnie nie odpowiada jego monumentalnej rzeźbie, przy której powinien stanowczo się zatrzymać.

Krystyna Dąbrowska z Poznania w wysta- wionych dwóch pracach: studium aktu (ko- bieta idąca) oraz głowie dziewczęcej wyka- zała duże poczucie rytmu i konstrukcji oraz subtelność w ujęciu i wyrazie. Szkoda, że nie wystawiła więcej. Rzeźbę Dąbrowskiej cechuje poszukiwanie syntezy natury.

Jan Dzięślewski jest jedynym przedsta- wicielem młodego pokolenia malarskiego. Wystawił kilka ciekawych prac, na których znać szkołę Słendzińskiego. Na pierwszy plan wybija się pejzaż zimowy, dekoracyjny w u-jęciu i ciekawy w kolorze; dalej studia por- tretowe z głową staruszki na czele.

Pozatem bardzo oryginalne wzory deko- racyjne wystawił Leonard Kociemski.

Idea urzędzenia wystawy zasługuje na pełną pochwałę. Jest to, o ile się nie myle, pierwsza próba zbiorowego wystawienia prac artystów polskich na terenie rzymskim. Szkoda, że nie obyło się bez błędów i niemilych posługiw. Przede wszystkim sale były tak przeladowane materiałem, że naprawdę go- dne uwagi prace ginęły w tłoku. Poza tem niektórzy malarze, mający dobrą markę, wy- stawili rzeczy zupełnie słabe. Płaskorzeźba biustu Marszałka J. Bogdanowiczowej niefor- tunna. Kilka słów należy się programowi. Przy bardzo pięknej formie zewnętrznej ce-



J. GOSLAWSKI

Głowa w drzewie

chował go bezład wewnętrzny. Nierozumia- ła mieszanina nazwisk i rodzajów sztuki. Na- leżało albo umieścić artystów w porządku al- fabetycznym, albo rozbić na kategorie sztuki przez nich praktykowanej. Wobec nieza- stosowania żadnego z wymienionych sposo- bów wynikł rażący chaos. Niemile też u- derzał fakt umieszczenia przed nazwiskami napisów „artysta malarz“, „artysta rzeź- biarz“, co brzmiało zbyt pompatycznie; wy- starczyłyby określenia „malarz“, „rzeźbiarz“, a byłoby i skromniej i przystojniej.

Chwaląc raz jeszcze inicjatywę grupy „Kapitolu“, oczekujemy wystawy przysz- łorocznej z pobożnym życzeniem: „malo, ale dobrze“.

BRONISŁAW KRYSZTYN WIERZEJSKI

## WYSTAWA DRZEWO- RYTÓW WŁOSKICH W WARSZAWIE

Szczupłość lokalu nie pozwala Gabinetowi Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Wa- rszawie urządzić u siebie wystaw. Poczuwa- jąc się w pełni do obowiązku szerzenia kul- tury artystycznej, instytucja ta wystąpiła o- becnie, korzystając z gościny Muzeum Na- rodowego, z pokazem drzeworytów włoskich wykonanych techniką zwaną *a chiaroscuro*. Około 200 obiektów przechowywanych w tekach Gabinetu Rycin, a obecnie staran- nie porzucanych, pochodzą z niewiel- kiej tylko liczbie ze zbiorów Stanisława Au- gusta, większość natomiast znajdowała się w kolekcji Stanisława Kostki Potockiego oraz w bogatym zbiorze tych właśnie rycin, na- bytych niedawno od Dr. Krzemickiego.

Wystawa daje przegląd całokształtu roz- woju tej techniki drzeworytniczej we Wło- szach, polegającej na osiągnięciu efektów kon- trastu światłocienia, za pomocą nakładania odcibi z kilku desek, z pozostawieniem jako światła, białych plam papieru.

*Chiaroscuro* powstało na początku XVI wieku; twórcą jego był Mgo da Carpi (1481 — 1532), reprezentowany na wysta- wie 21 pracami. Na powstanie tej techniki wywarły z pewnością wpływ rysunki mi- strzów włoskich, operujących zestawieniami plam jasnych na ciemnym tle.

Dążeniem drzeworytników włoskich by- ło osiągnięcie efektów malarskich, operowa- nie plamą, która kształtuje formy, unika- nie kreski, wywoływanie impresjonistycz- nych wizyj. Aczkolwiek drzeworyty te wyko- nywane były na zasadzie prac Rafaela, Parmigianina (którego miękkie formy nada- wały się specjalnie do tego celu) lub innych słynnych artystów, to jednak nie należy je traktować jako reprodukcje, gdyż czyn- nik osobistej twórczości odgrywa tu wielką rolę, i pozwala je nawet nazywać dziełami oryginalnymi o zdumiewającej umiejętności wyszukiwania bogactwa gradacyj odcieni te- go samego koloru.

Wystawa omawiana nie tylko daje spo- sobność zapoznania się z rozwojem *chiaro- scuro* w jego ojczyźnie, lecz rzuca również światło na naśladownictwo tej techniki aż po wiek XVIII, dokonywane wielokrotnie w Niemczech, Francji, Niderlandach i Anglii. Pod względem technicznym bardzo intere- sujące drzeworyty *chiaroscuro* łączone ze zwykłymi drzeworytami, miedziorytami lub akwafortami. W dobie żywego zaintereso- wania sztuką graficzną pokaz ten powinien się odbić żywym echem zarówno wśród ar- tystów grafików, malarzów, jak i w ogóle publiczności kulturalnej. Dr. Stanisławie Sawi- kiej, kustoszce Gabinetu Rycin, należy się uznanie nie tylko za piękną inicjatywę urzą- dzenia wystawy, ale ponadto za nadzwyczaj- nie starannie opracowany katalog, z wstę- pem, nakreślającym dzieje powstania rozwo- ju techniki *Chiaroscuro*, opartym na źródło- wych badaniach.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA



# SZTUKA I ANTENA



## LATEM ŚPIĘ PRZY OTWARTYM GŁOŚNIKU

Bernard Shaw każe swojej pannie Warren wygłosić w którymś miejscu takie słowa: „Byłam na koncercie. Przez cały wieczór nie, tylko Beethoven i Wagner, Wagner i Beethoven, Beethoven i Wagner — można było oszaleć... Malicka mówiła to z wielkim przekonaniem i na widownię słychać było głośny szmer uznania a nawet oklaski. Aha — pomyślałem sobie — to pewnie radio-ahonenci, „spilowani“ poważną muzyką, tak żywo reagują.

„Oszaleć można“ to hasło bojowe ogromnego procentu listów, otrzymywanych przez Biuro Studiów w sprawie muzycznych programów Polskiego Radia. Malkontenci na tym koniku jeżdżą najchętniej. Nie mam zamiaru wałkować tu na nowo całego zagadnienia, wydaje mi się jednak, że stosunek słuchacza-ignoranta do muzyki poważnej może ulec zasadniczej zmianie, jeżeli się tę „duchową strawę“ odpowiednio poda. Możemy zazdrościć tym naszym sąsiadom — gdzie poważna muzyka jest *plat national*, jak u nas flaki z pulpetami. Ale i polskie niewyrobione podniebienia możnaby przyzwycząć do „fisów i hemolów“, gdyżby je odpowiednio przyprowadził. Dwie są recepty (bardzo proste), które należy stosować: pogadanki wstępne i systematyczne kształcenie smaku muzycznego słuchacza w specjalnych audycjach. I jedno i drugie spotykaliśmy w programach radiowych, niestety, nie było to najlepiej robione: ramy programu, którymi ten dział dysponował — były cienne, pogadanki przed koncertem bywały często trudne, zbyt specjalne, a nieraz — powiedzmy krótko: nudne. A znowu próby systematycznego kształcenia uszu słuchacza (pogadanki słuchane z muzykiem) były anemiczne i nienajlepiej pomyslane. Potem zrezygnowano zupełnie z wciągnięcia do audytoria „szarego“ słuchacza! „Fisy i hemole“ podawano bez żadnego wyjaśnienia, wyraźnie dla elity, dla wtajemniczonych. „Za chwilę nadamy państwu sonatę D-dur Jana Sebastjana Bacha na *viola da gamba* i *cembalo*“ — celebrował speaker, a szary słuchacz irytował się i zniechęcony kręcił galką albo zasypiał. Było to dla niego niemieckie kazanie. I sonaty słuchało — powiedzmy — dwa tysiące osób zamiast dwudziestu tysięcy. Ale czemuż nie powiedzieć coś nie o samej *viola da gamba* i jej siostrach: *viola d'amore*, *quintone taille* i o tem, jak *viola* w XVII wieku zwyciężyły skrzypee. Dodajmy do tego krótką wiadomość, że Bach używał *violi* tylko przysgodnie i parę minut o *cembalo* (klawesynie) i oto liczba amatorów niemieckiego kazania rośnie. Taki wstęp musi być napisany bardzo żywo i przystępnie, a schowa się go do kartoteki, żeby go móc powtórzyć za każdym razem, kiedy radio dany utwór znów umieści w programach. Czasu na to żałować nie należy, opłaci się tysiąckrotnie. Powtarzanie objaśnień przy każdym wznowieniu audycji muzyki poważnej wydaje mi się niezbędne choć ma to coś z „wbijania łopata do głowy“, to jednak w kraju, gdzie analfabetyzm muzyczny jest powszechny — będzie jedynym sposobem łapania dusz do rajów, jakim jest każde audytoria słuchaczy, rozumiejących i czujących to, czego słuchają.

O ile wiem, w wydziale prasowym Polskiego Radia pracują też i muzykolodzy, dostarczając do biuletynu prasowego wzmianek o koncertach. Te same wzmianki (rozszerzone i pogłębione) winny być powtarzane w studio przed audycją, bo w gazecie rzadko je kto wyłowi i zapamięta.

„Rozmowy słuchacza z muzykiem“ pomyśl doskonale, ale wymaga znacznie większego wkładu inwencji, pracy, niż dotychczas. I znacznie więcej czasu. Nie raz na tydzień, ale *codziennie*, albo co drugi dzień. Nie może to być, rzecz jasna, żadną piłą, ale żywy, dobrze wyreżyserowany dialog, a wtedy zachęci, zaciekawi, wyda plony w postaci nowych zwolenników „fisów i hemoli“. Robota na kolanie mści się zazwyczaj okrutnie i przykłady takich nużących wyjaśnień notowaliśmy wielokrotnie.

Równoległe z propagandą dobrej, poważnej muzyki należy ustawicznie zniechęcać słuchacza do lekkiego pitolenia, zozydzać mu muzyczną „wodę z sokiem“. To można pomyśleć bardzo ciekawie i tu jest wdzięczne pole dla młodych, dowcipnych muzyków. Pamiętam doskonale sowiecki film (*Harmo-*

nia), gdzie np. była próbka walki z wyznawcami *sierdceszpatielnych* romansów cygańskich. Walka była pasjonująca, a wyższość zdrowego folkloru w muzyce wykazana jasno i wyraźnie. Idąc w tym kierunku znaleźlibyśmy na prawo i na lewo niewyczerpane źródła pomysłów.

Pomysł audycji: „w muzycznym domu“ — dobry, nie może jednak polegać na jakimś zwiariowanym bigosie, gdzie utwory muzyczne łączy hajdurzenie bez sensu i składu (podobnej audycji słuchałem przed paru miesiącami, to było potworne).

Nad radiofonią (szczególnie polską) zaciążyła analogia z gazetą. W gazecie musi być wszystkiego potrosze i codziennie co innego. Ta sama zasada stosowana w radio zrobiła z programów niemożliwą sałatkę, jakieś *hors d'oeuvres variés*. Czas posiekany na pięciominutowki rozsypane się w pamięci słuchacza jak drobny mak, słuchacz ciągle się epóźnia, ciągle każą mu skakać z grządkki na grządkę: ledwie zasmakuje w minucie poezji, już musi o niej zapomnieć i słuchać płyty, potem znów paru minut „na aktualny temat“ i tak bez końca. Od jakiegoś czasu widzimy, chwala Bogu, dłuższe audycje, ale odwrót nie odbywa się na całej linii, ciągle jeszcze program radiowy przypomina 1-szą stronę ekspresów: same tytuły. Zerwać z tą zasadą należy jak najprędzej. Czemu np. nie połączyć w jedno wszelkich komunikatów, dziennika i aktualnych minutówek? Nie żeby to jednym duszkiem odczytywał speaker, nie! Ale zrobić z tego gawędę kilku osób, ubarwić humorem (ach, to osobne i niewesołe zagadnienie!) a kiedy można, ogniem dyskusji. Abonentów trzeba szczerzać, żeby nie zasnął.

Wiemy zresztą, dlaczego Radio dążyło do skracania audycji. Kiedy zauważono, że półgodzinny odczyt był nudny, zawyrokowano: aha, piętnastominutowy będzie ciekawy. Niestety, atrakcyjność prelekcji bynajmniej nie zależy od długości audycji i teraz prawie codziennie możemy słyszeć przemówienia, które choć pięciominutowe postarzają nas o całą godzinę. Tymczasem pół godziny dialogu Russella i Chestertona mijają i teraz jak z bicza strzelili. 45 minut zabawnego słuchowiska *Sprzedam kamień* nikogo nie uspiło, a z jaką łatwością zrobił to źle napisany i źle przeczytany pięciominutowy odczyt.

Treść audycji, walory radiofoniczne mówiących i umiejętnie podanie (dobry sos!) — to decyduje o atrakcyjności programu. Można fragmenty z książki telefonicznej tak podać, że będzie się tego słuchało z zapartym tchem, i odwrotnie: można i Pittigrillim znużyć najgorliwszych jego wyznawców.

Życie, nerw, inwencja, śmiałość — to ożywia program. O śmiałości słów parę osobno: było w radio słuchowisko spółdzielcze *Dzień dzisiejszy*. W prasie ze zdumieniem wyczytałem: słuchowisko podane demagogicznie, po bolszewicku, tak nie można, trzeba uważać, wiatr od wschodu itp. A o co chodziło? że w szeregu krótkich scen autor miał odwagę powiedzieć: „czas są ciężkie, mamy bezrobotnych, rasowym pinczermom dzieje się lepiej niż milionom ludzi, a trusty zbijają grubą forszę! Czyżby trzeźwe odmalow-

wanie rzeczywistości, którą wszyscy oglądamy i której nikt z ucziwych nie aprobejuje — miałyby być zaraz akcją defetystyczną? Ale bo u nas to tak: nic na urzędników, ho urzędniczy obraża się, to samo dotyczy cyklistów, dorożkarzy, ogrodników i aptekarzy. Nie można mówić, że jest źle, nie można nic i nikomu wytknąć palcem, wszystko jest święte.

Radio utrzymuje się z abonentów i chcąc nie chcąc musi się liczyć z nastrojami poszczególnych ich grup. A klienci polscy nie mają poczucia humoru i nie wiedzą, że w każdej zabawie trzeba nieco zrezygnować z własnej próżności, trzeba zgodzić się, że bliźni bawić się będą przez chwilę *twoim* kosztem. Bez tego niema wymiany uśmiechów i to np. doskonale rozumie Francuz. Rozumiemy ostrożność Radia, ale czy nie przesadza trochę z tą ostrożnością? Czy tak częste odwolywanie skęczów i wesolych syren nie powiększa tej fatalnej cechy polskiego charakteru, ponurości? Walić w nią trzeba taranem i humor w radio miały tu pole do

bohaterkich harców. Eliminacja polityki — zgoda — bolączek kryzysu: bezrobocia, głodu — zgoda, ale zostawmy przynajmniej swobodę radiowemu Arystofanesom w walce z śmiešnością ludzką wogóle, pozwólmę wytknąć poszczególnym zawodom ich słabe strony, pozwólmę flitować gniazda głupoty, pychy! Humor w radio nie może ograniczyć się do Rodocia i Makuszyńskiego.

Latem jesteśmy senni i chętnie byśmy posłuchali czegoś zabawnego. Tymczasem Dyrekcja programów skasowała poniedziałkowe skecze i piątkowe monologi, syreny odwołuje, natomiast coraz częściej słyszymy: Adamsa Knopt-King: „Wszystko już było“ — fox-trott, Singler-Goodhart-Hoffman: „Idziemy na herbatkę“, slow-fox, Eiseman-Schlechter: „Ja to znam i ty to znasz“ — walc...

Głośniki grają. „Takie coś“ usypia jednych, oglupia drugich. Czy nie za wielka porcja, nawet jak na lato?

WIKTOR MAJEWSKI

## PIĘKNE PRZEDSTAWIENIE RADIOWEGO TEATRU WYOBRAŹNI

Nadany przez Polskie Radio w dniu 18 czerwca żart sceniczny Shawa p. t. *Człowiek przeznaczenia* (*The man of destiny*)<sup>1</sup> był jedną z najlepszych pozycji tak zwanego Teatru Wyobraźni. Dał słuchaczowi chwilę zupełnego oderwania od otaczającej rzeczywistości, czyli dał to właśnie, czego człowiek od teatru wymaga. (Wymaga nieraz nieświadomie, a jednak sztuka — wszelka sztuka — która tego nie daje, jest dla odbiorcy niczem). Wymaga nie tylko wtedy, gdy jest „rozrywkowa“ i „przyjemna“ i nie tylko wtedy, kiedy odrywa od rzeczywistości *przykrej*. Nawet człowiek spokojny, zadowolony z życia i zamowiony w swoim świecie, skoro da się porwać w koszmarny świat takiego np. *Kresu wędrowniki* Sheriffa, czy bolesnej muzyki Bethovena, żywi głęboką wdzięczność dla twórcy, który potrafił dokonać na nim cudu wniebo- lub pieklowizacji, wyprowadzić go — zupełnie bezbronne — poza siebie samego i przenieść, woła artysty, w inny, obcy świat. Wędrownika w nieznane jest zawsze rozkoszą. Jednakże, żeby na nią wprowadzić innych, potrzeba mistrzowskiej ręki. Dlatego tyle tak zwanych dzieł sztuki pozostawia widza w zupełnej obojętności i pustce.

Teatr radiowy, operując innymi walorami, niż scena zwykła, musi jednakże również zdobyć sekret wyprowadzania człowieka poza niego samego, tajemnicę odrywania słuchaczy od ich własnej rzeczywistości i więzienia ich przez chwilę w rzeczywistości artysty. Tylko wtedy może zostać prawdziwą sztuką. Bo czy to będzie dźwięk, czy barwa, słowo, czy gest — tajemnica sztuki jest zawsze jedna. Woni tej tajemnicy (może to bezbronneść wobec nieznanego?) pragnie odbiorca sztuki — słuchacz, czytelnik lub widz — w każdym jej kształcie.

Młody polski Teatr Wyobraźni wciąż jeszcze szuka. Szuka swego wyrazu, swojej techniki, swoich twórców i swojej publiczności. Więcej jeszcze: sam szczerze i głośno przyznaje się do tego szukania. Budzi sympatię, szacunek i chęć okazania pomocy, jak każdy rzetelny wysiłek ludzki. Kierownictwo teatru radiowego nie boi się krytyki

<sup>1</sup> Wznowienie w niedzielę, 26 lipca.

## WIOSNY SAMOTNE

Kipią w mych żyłach wiosny samotne  
Paków pękaniem, światów rozkwitem —  
Dnie akcyjne, dnie niepowrotne  
We krwi się czają życia niesynte.

W ziemię udeptane bzuwe opady,  
Niewysłuchane słowicze trele  
W sercu wiosnianym wzbierają jadem,  
Głodem miłości dzwonią po ciebie.

Nienasylenie, nienasylenie —  
Wiosen samotnych gorzyc piekaca —

Świat przed oczyma zasnuty cieniem,  
W oczach przymkniętych pragnienie słońca

Niewyspiewaną świata urodę,  
Zarem zgaszonych pragnień zatruły,  
Jakąz odpłatę wezmę za młodość,  
Dnie przestrojone na drzące nuty?

Jakże przeżyję bezsilnym słowem  
Wiosny samotne, wiosny stracone?  
— Krew się rozogni słońcem majowym,  
W wiosnie ostatniej na popiół spłone.

EUGENIUSZ ZYDOMIRSKI

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

## P O E Z J E

STEFAN NAPIERSKI: *Liryka niemiecka*. Chelmski Lubelski 1936. Biblioteka „Kamień”.

Pokażny tom przekładów Napierskiego z liryki niemieckiej jest jako objaw zainteresowania poezją naszego zachodniego sąsieda zjawiskiem bezwzględnie dodatnim. Nie wiadomo z jakich powodów wynikający pogardliwy polski stosunek do kultury niemieckiej był symptomem parafiańszczyzny duchowej. Wynikiem tego stosunku było zużycie naszej świadomości kulturalnej, która sama najwięcej traciła na lekceważącym traktowaniu kultury niemieckiej. Bo przecież nie da się zaprzeczyć, że kultura niemiecka należy do rządu całkowicie oryginalnych i najwartościowszych kultur europejskich. Można być wrogiem politycznych aspiracji Niemiec, można czuć antypatię do narodowego typu psychicznego Niemców, nie wolno jednak, jak to u nas często robiono, z fikcyjnych wyżyn swojej pogardy lekkomyślnie odtrącać dorobku kulturalnego tego narodu. Takie stanowisko jest naiwne i w konsekwencjach szkodliwe dla tego, który je zajmuje. Takiego stanowiska nie zajmują też narody zachodnioeuropejskie, jak Francja, Anglia, Włochy. My jednak byliśmy więcej Francuzami niż Francuzi. Odrabianie więc zaległości naszych jest aktualne i korzystne dla nas. Tom przekładów, obfity, bo liczący 216 stron, zasługuje wobec tego na specjalną uwagę.

Nasuwa się pytanie, jak uporał się Napierski z przekładami. Otóż nie ulega wątpliwości, że w bardzo licznych przekładach Napierski ponosił klęskę. Nie jest on t. zw. tłumaczem kongenjalnym. Gdyby książkę ośmieszać zwyczajem warszawskim, t. zn. wylać wszelkie błędy i potknięcia, sąd o znajomości języka polskiego. Co więcej — można na podstawie zręcznych wychwytychanych cytacji wykazać, że tłumacz nie tylko niejednokrotnie robi zadziwiające błędy rytmiczne, ale nawet wykazuje niedostateczną znajomość języka polskiego. Co więcej — również cytacjami można udowodnić, że utwory tłumaczone — w oryginalnej nieraz arcydzieła liryki niemieckiej — w przekładzie sprawiają wrażenie wierszy pozbawionych wszelkich wartości literackich.

Taki sposób recenzowania jest oczywiście pełen „wdzięku”. Ileż dowcipów można przy sposobności zrobić! Wykazuje się poza tym niezwykłą „bystrość” sądu i t. d. i t. d. Sposób ten jednak ma jedną zasadniczą wadę: jest zbyt łatwy i uproszczony, żeby był słuszny i obiektywny.

Wysiłek Napierskiego jest zbyt poważny, żeby wolno się z nim było w ten sposób żałować. Kto zna język niemiecki i orientuje się w jego charakterze, ten wie, jak olbrzymie trudności przedstawia tłumaczenie — szczególnie poezji niemieckiej. Jest faktem, dobitnie świadczącym o tej trudności, że w literaturze polskiej dość bogatej w przekłady z liryki zachodnioeuropejskiej, stosunkowo małą pozycję stanowią przekłady z poezji niemieckiej i angielskiej. Jeśli zaś zastanowilibyśmy się nad ilością pięknych, artystycznie zadowolających przekładów, to procent ten należałoby jeszcze pomniejszyć. Największe arcydzieła liryki niemieckiej są nieprzetłumaczone. Jeśli zaś zostały przetłumaczone, to naogół w sposób tak pozbawiający je wszelkich walorów artystycznych, że zdumiony, a nie znawca oryginałów niemieckich czytelnik, utwierdza się w swoim komiecznym zdaniu, że poezja niemiecka jest słaba. Jest jakaś ohość językowa między językiem niemieckim a polskim, która sprawia, że tłumaczenie jest w pewnych wypadkach wręcz szczyfowa nraca, w innych zaś niezwykłą trudnością. Wartości poetyckie giną w drodze między oryginałem a przekładem. Nic nie pomoże powoływanie się na dosłowność tłumaczenia — poetycko bowiem słowa niemieckie i polskie nie są bynajmniej jednoznaczne. Fakt ten jest dobrze znany każdemu, kto kiedykolwiek zestawiał przekład polski z oryginałem niemieckim. Szczególnie uderza on ze zrozumiałych powodów w liryce, w której nietylko znaczenie, obraz, kompozycja odgrywa zasadniczą rolę, ale także „zestwór dźwiękowy” danego wiersza, jego „muzyka”. Stąd „nieprzetłumaczalność” takich wierszy jak np. Goethego: *Ueber allen Gipfeln ist Ruh* i t. p.

Stwierdziliśmy, że Napierski nie należy w zasadzie do tłumaczy „kongenjalnych”. Wykazał to już jego tłumaczenia z języka francuskiego. Oczywiście wobec tego faktu trudności bardzo wielkie dla „kongenjalnego” tłumacza, były dla niego nieraz nieprzezwyciężalne. Z naciskiem jednak podkreślić należy, że w pewnych wypadkach — mimo drobnych i łatwo dających się usunąć usterek — udało mu się uzyskać ten stopień przybliżenia poetyckiego, który pozwala nam doznawać przekład estetycznie tak, jakbyśmy czytali wiersz oryginalny. Mimo że procent tych udanych przekładów nie jest

zbyt wielki, jest on jednak wystarczający do umotywowania wydania książki. Ten procent jest też dostatecznie ważki, żeby zapamiętać o brakach, szczególnie gdy się wie, jak niewdzięczną pracą jest przekład z poezji niemieckiej.

O ile Napierski najslabiej tłumaczy poe-  
tów o t. zw. doskonałej formie (Platen,  
George z najważniejszych), których tłumaczenie wymaga nieskazitelnego strofu i patetycznego a nieskalanie czystego języka, o tyle udaje mu się uzyskać duże efekty w przekładzie utworów, które nie stawiają takich trudności stroficznych, rytmicznych, rymowych i t. d. Wtedy otrzymujemy przekłady, pozwalające laikowi, nie znającemu języka niemieckiego, na prawdziwe przeżycie estetyczne. Do takich udanych w zasadzie — mimo drobnych usterek — przekładów zaliczyłby można utwory Hofmannsthal, Hebbela, Rainera Marii Rilkego i Paqueta. Czytelnik, nie znający poezji niemieckiej, już na podstawie tych utworów może skorygować swój błędny sąd o niej.

W. BAK

\*

WŁODZIMIR SZAJAN. *Hymny Rygwedy*. Wiazka pierwsza. Lwów b. r. Nakładem autora. Str. 47.

Ta wiazka *Hymnów Rygwedy*, dedykowana lwowskiemu indyjaninie, profesorowi St. Stasiakowi, jest w gruncie rzeczy dwiema wiazkami, zawiera bowiem dziewięć hymnów, których autorem jest sam p. Włodzimierz Szajan, oraz dziewięć, przetłumaczonych z autentycznego Rig-Wedy. O pierwszych powstrzymuję się od sądu, ponieważ sam poeta nie jestem i z redaktorem literackiego działu *Gazety Polskiej* konkurować nie mogę. To też bez żadnej ukrytej złośliwości, lecz tylko dla scharakteryzowania stosunku autora do czcigodnego zabytku poezji staroindyjskiej cytuję tę, napewno nie najlepszą, strofę z hymnu zatytułowanego „Bóg niezany”:

Jam znał cię ongiś w hoje głosem ryskich,  
Kędy rozkwitła bujnie nowa era:  
Na szczytach Rygwedy wzniosł się najwyższy  
I w tęsknocie twórczej Schopenhauera.

Jeśli dodać, że autor uważa Indów wedyjskich za swoich pradziadów, że w hymnach Rig-Wedy słyszy „zew braterstwa wszechziemiejskiej krwi” i pragnie aby ten zew prowadził i nas „w rozwój nowych dał”, hędziemy już dostatecznie poinformowani o ideologicznym tle jego zainteresowań Rig-Wedą. Z punktu widzenia naukowego i merytorycznego ideologia ta musi budzić poważne zastrzeżenia, ale ponieważ p. Szajan jest poetą, nie będziemy się o to prawować. Ostatecznie mniejsza o naukowe uzasadnienie poetyckiego entuzjazmu, byleby literacki rezultat przekładów był pozytywny.

Niestety, nie mogę powiedzieć, aby wszystkie dziewięć hymnów, przelożonych w zbioru, było eksperymentem udanym. Nieźle wypadły hymny do Indry i hymn do hoga wiatru, Waju, ale inne udaly się gorzej, a już najgorzej chyba znany hymn o początku wszechzręczy. Inna sprawa, że właśnie ten hymn przedstawia dość duże trudności, zwłaszcza zwrotka piąta, w oryginalnej ciemna i nie bardzo zrozumiała. Stereotypowa jej interpretacja, jaką podają egzeci indyjscy i europejscy, napewno nie jest zadawalniająca, ale to, co z tej strofki zrobił p. Szajan, jest i filologicznie i poetycko jeszcze mniej zadawalniające:

Skoño się przeży ich nahaj wypięty;  
Czł było wówczas „w dole” lub też „w górze”?  
Rwłw w górze preźności, sił rozpedy,  
W dole możliwość, napięcie, żąd burze.

Słowo *raśmi* znaczy tu być może „promień”, być może „sznur mierniczy”, może i jeszcze co innego, ale napewno nie „nahaj”, i jeśli już, to „napięty”, a nie „wypięty”. chyba, że autor rozumie przez „nahaj” co innego, niż ja rozumiem.

Oczywiście, nie należy na podstawie dziewięciu przekładów wydawać generalnych ocen. Nie chciałbym także zniechęcać, najwidoczniej młodego jeszcze, autora do dalszej pracy nad poetycką transkrypcją Rig-Wedy. Nie mniej jednak nie mogę nie wyrazić pragnienia, aby dalsze wiazki lepiej się udaly od tej pierwszej.

ST. SCHAYER

## P O W I E Ś Ć

ALEKSY TOŁSTOJ: *Siostry*. Część pierwsza trylogii *Droga przez mękę*. — *Rok Osiemnasty*. Część druga trylogii *Droga przez mękę*. Autoryzowany przekład Władysława Broniewskiego. Warszawa 1935. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Jednym z największych nowatorstw powieści powojennej jest rzadka dawniej świa-

domość kompozycji, która przede wszystkim wyraża się w sposobie prowadzenia i ustosunkowania wątków. A więc poza tradycyjnym podporządkowaniem naczelnemu wątkowi — innych, spotyka się często t. zw. paralelizm. Kilka równie ważnych spraw rozwija się pozornie niezależnie i tylko początek lub zakończenie łączą je w kompozycyjną całość.

Zamierzona, lecz nieudolna równoległość wątków często upodabnia się do przypadkowego rozrostu epizodów. Różnica bowiem między tymi zjawiskami, przy braku konsekwentnej budowy powieści, jest trudno uchwytna. W każdym razie powieść, która budzi tę wątpliwość, wykazuje równocześnie niezależność artystyczną autora i jego niezdecydowanie co do ważności opracowywanych tematów. Bo przecież jest rzeczą zrozumiałą, że obiektywna, społeczna, ekonomiczna i t. p. doniosłość opiewanych faktów, może pokrywać się z kryterjum autora — ale bynajmniej nie musi.

W nowej, stwarzanej rzeczywistości dzieła wysunięcie takiego, czy innego wątku na stanowisko naczelnego jest dowolną sprawą pisarza. Za to obowiązkiem jego jest przekonać czytelnika, że kryterjum to było słuszne. Czytelnik *Siostr* Aleksiego Tołstoja staje niezdecydowany wobec dwóch zagadnień. A więc, który z dwóch problemów poruszonych w powieści jest ważniejszy, i, czy mamy tu do czynienia z paralelizmem wątków, czy z nadmiernym rozwojem epizodów?

Rozstrzygnięcie pierwszego problemu byłoby równocześnie wytłumaczeniem drugiego. Lecz sprawa wcale nie przedstawia się jasno. Tytuł i duża początkowa część powieści wskazywałyby na to, że celem autora była analiza przeżyć dwóch sióstr — Kati i Daszy, czyli zagadnienie obiektywnie mało ważne, oceniane ze względu na jego doniosłość w dziele. Lecz już wstęp, a wyraźnie daleka część utworu ustalają kryterjum zupełnie inne. Na plan pierwszy wysuwają się ważne społecznie zagadnienia wojny i rewolucji i wchłaniają nieomal całkowicie kwestie dotychczas zajmujące autora.

W rezultacie widać, że żaden z wątków nie uzyskuje w powieści miejsca donioslejszego — oba dzielą się równo połową stron druku. Wobec tego ewentualność podporządkowania jednego zagadnienia drugiemu upada.

A więc może paralelizm? Dwa wątki niezależne, wkomponowane w artystyczną całość?

Niestety, ich treściowa niezależność zostaje zniszczona przez wysiłki autora, który pracowicie robi, co może, aby jednak ciągle je łączył. Oto ukochany Daszy idzie na wojnę — mało tego — dostaje się do niewoli, bo przecież i to środowisko trzcha o pisać, potem pracuje w fabryce — ważna przecież sprawą jest nastrój przedrewolucyjny robotników. Ta robota spajania, której szwy doskonale widać, dowodzi, że autor nie umiał czy nie chciał rozwiać wątków równoległe i do czasu niezależnie. Pozostaje trzecia możliwość: jest jeden wątek, reszta — epizody. Tylko — mała wątpliwość — co to jest wątek, a co epizodem? Które z kryterjów ważności: artystyczne, czy społeczne ma o tem decydować?

W pewnej mierze decyduje o tem druga część trylogii. Jednak tylko w pewnej mierze — gdyż związek pomiędzy obu tomami jest bardzo luźny. *Rok osiemnasty* stanowi zamkniętą całość, opowiadając o tragicznych czasach rewolucji. Tylko dlatego można go nazwać dalszym ciągiem *Siostr*, że i tu spotykamy (zresztą rzadko) Katię, Daszę, Tielegina... i że zajmuje się okresem chronologicznie późniejszym. W przeciwieństwie do kilku wątków części pierwszej — tutaj jednolity wprost niewyczerpany temat — całkowicie pochłania autora. Trudno jest nawet mówić o epizodach — wszystkie postacie, zdarzenia, działania są całkowicie podporządkowane rewolucji i w perspektywie złowieszczych tragizmu maleją do rozmiaru pyłków unoszonych huraganem wydarzeń.

Gdyby chcieć tę powieść zaklasyfikować jako do znanych rodzajów, byłoby się w niemalym kłopotcie. Indywidualność autora i dynamika tematu roszadają konwencjonalne ramy, tak powieści historycznej jak i eposu. Pomimo to można określić *Rok osiemnasty* jako epikę, ale byłaby to jakaś nowa potężna epika bezpośredniej przeżycia, naocznych obserwacji i płomiennych namiętności. Wprawdzie autor stara się o sprawiedliwą bezstronność, podkreślając wielokrotnie bohaterstwo i niezmordowaną energję „białych”, lecz jest to bezstronność szlachetnego stronnika rewolucji, nie zaś beznamiętny obiektywizm odległych wydarzeń.

Zamiast zestawiać utwór z tradycyjną epiką może słuszniej byłoby porównać go z epickimi opowieściami ludu. Liryczne wstępy i zakończenia, które łączą zmiany w przyrodzie ze zdarzeniami walk, wywołują smętny nastrój starych belin: „Ciemna jest woda w jesiennych posepnych chmurach.

Rok osiemnasty dziwym huraganem przeleciał nad Rosją, — nic się nie rozstrzygnęło i nic się nie skończyło. Rozbiły się namiętnie porwy, gały nadzieje. Znów — nieprzejrane noce, mokry śnieg, okopy na tysiące wiorst, jak ropiejące szramy na twarzy...”

Autor czasem opowiada jak uczestnik walk, kiedy indziej podaje rzeczowe suche relacje, charakteryzuje ogólną sytuację — ale najczęściej wielki talent plastyczny rozrywa nawiasy, w których Tolstoj próbuje zamknąć swoje spostrzeżenia, opis postaci i t. p. i oto powstają niezapomniane w swej wyrazistości obrazy walk i krwawych rzezi, postaci wodzów, atamanów i generałów, obszary bezbrzoźnych stepów pod palącym słońcem, pokrytych nasypami okopów i gromadami trupów.

Charakterystyka rewolucji i społeczeństwa rosyjskiego zagubionego w chaosie namiętności, sprzecznych celów i nienawiści łączy się tu w przedziwny sposób z pięknym niezmierzonymi obszarów rozestających pod gwiazdzistym niebem, z ezumem zaważę obójnych stepów i spokojnym biegiem ezero-ko rozlanych rzek.

Niezwykłe — jakies klasyczne — zrównoważenie pozwoliło autorowi usunąć się w cień olbrzymich zagadnień, a jednocześnie opanować je kompozycyjnie. Powiązanie różnych środowisk, spraw i postaci nie tylko nie nasuwa wątpliwości, ale przeciwnie, podkreśla dynamizm wrzących sił, które rzucały ludźmi jak piłeczkami zderzającymi się w najbardziej nieoczekiwany sposób.

O artyzmie powieści decyduje także zwarta, jasna, krótka, czasem urwana budowa zdań i styl prosty a poważny, pełen wewnętrznej dynamizmu.

Dobrze się stało, że te powieści przetłumaczył właśnie Broniewski, który nie tylko unika wszelkiego niedbałstwa gramatycznego, ale nadto umie, jak mało kto, oddać stylowe i językowe zalety oryginału.

EWA KORZENIEWSKA

## PEDAGOGIKA

DR. ED. CLAPARÈDE, profesor Uniwersytetu Genewskiego: *Jak rozpoznawać uzdolnienia uczniów?* Przełożyła Dr. Justyna Jastrzębska. Przedmowa prof. St. Baley. Wyd. Książnica-Atlas.

W ciągu paru ostatnich dziesięcioleci psycholog, lekarz, sędzia i nauczyciel wychowawca zrozumieli, że niezbędnym czynnikiem do odnalezienia trafnych metod postępowania z człowiekiem dojrzałym, czy też dzieckiem, jest zdobycie umiejętności wglądu w jego życie duchowe. Znałszy klucz, otwierający duszę dziecka, zrozumieć pobudki i przyczyny działania, wykryć „szablony życiowe” oraz „linię ruchu” (jak to nazywa Adler), według których rozwija się i kształtuje późniejsza indywidualność, to olbrzymi krok na drodze przygotowania dziecka do odpowiedniego w życiu miejsca, krok, który mu pozwoli zdobyć *maximum* osobistego zadowolenia oraz wydajności społecznej. W pracy rozpoznawczej umysłu i duszy dziecka lub dorosłego człowieka doniosłą rolę odgrywa obecnie psychologia eksperymentalna, która z dnia na dzień rozszerza pole swych badań dzięki zastosowaniu tak zwanych testów i psychoanalizy i t. p., a człowiek, mający pretensje do pewnego poziomu intelektualnego, często zaprawia swoją mowę korpulentną i modną przyprawą terminów w rodzaju „pyknik, schizofrenik, profil psychologiczny” i t. p. Mimo to nie każdy posiada głębszą znajomość tego, czym jest test, jak wygląda jego zastosowanie w stosunku do wieku lub zawodu, jakie rezultaty osiąga się dzięki badaniom, opartym na testach i t. p.

Komu zależy na pogłębieniu swych wiadomości w tej dziedzinie, niech sięgnie po książkę prof. Claparède'a. Znajdzie w niej wykład bardzo gruntowny i precyzyjny, dający zupełnie jasne pojęcie o tem, czym jest test, historję jego powstania i zastosowania, jak należy badać za pomocą testów, jakie mogą się wkładać błędy i niedociągnięcia w testowaniu umysłów. Psycholog daje w swem dziele niezmienne obiektywne poglądy na używanie testów i, widząc wielką przyszłość w badaniach tego rodzaju, nie pomija milczeniem momentów jeszcze niejasnych, niesprawdzonych, niepewnych.

Praktyczna część daje czytelnikowi możliwość zaznajomienia się z całą serią bardzo ciekawych testów Bineta, Termanna i innych. Cała książka jest dowodem, że dewiza „poznaj samego siebie” zaczyna być coraz skrupulatniej stosowana w dziedzinie pedagogiki.

Nie można wprost wyobrazić sobie w niedalekiej przyszłości szkoły bez poradni psychologicznej, która zbliży wychowawcę do głębszego zrozumienia istotnych potrzeb jego uczniów i pomoże skierować powierzona mu jednostkę nie tam, gdzie ją rzuci los, lecz tam, gdzie leży jej istotne przeznaczenie i miejsce w społeczeństwie.

E. STRĄŻYSKI

## SPRAWY FRANCUSKIE

## LE CRIME BERNANOSA

Książka, która w kulturalnej prasie francuskiej przeszła niemal bez echa (choć rozchwytywana przez publiczność mniej wybredną). W Polsce *Wiadomości Literackie* drukowały jej przekład p. t. *Zbrodnia*. Jako



wypartego ze świadomości strachu, żeby go czasem nie brakło tam, gdzie się będzie głośno mówiło o wyczuciu ducha czasu i odwadze cywilnej, z obawy, żeby go ktoś nie nazwał wsteczniczką i burżujem, albo „pisarzem faszystowskim“ i t. p.); 4) autorytet pisarza buduje się na jego indywidualności — musi on do każdego zagadnienia i wydarzenia iść sam, sam poznać jego istotę w swym twórczym dziele, choćby to miało nastąpić o wiele później niż tego wymagają doraźne względy taktyczne; nie może się zaś wymigiwać i wyłgiwać pośrednictwem ugrupowań, nawet literackich, których zbiorowej akcji używa swego podpisu“; 5) „czego nie ma w twórczości pisarza, tego do niej żaden podpis nie doda, stąd jego twórczość jest dostateczną manifestacją jego moralno-społecznego stanowiska“. Artykuł Dąbrowskiej, poruszający zagadnienie zasadnicze ze zwykłym u tej pisarki wysokim zrozumieniem godności pisarza i głębokim poczuciem odpowiedzialności moralnej, oczywiście nie w smak idzie pewnym publicyściom i literatom, którzy zadanie pisarza traktują zupełnie inaczej, uważając go za megafon tych lub innych aspiracji społecznych lub politycznych. Głos Dąbrowskiej, zbieżny z głosem Duhamela, w ostatecznych wnioskach w czasie powszechnego obłędu politycznego i społecznego zarówno w krajach „faszystowskich“ jak i proletariackich, nadużywających literatury dla dorywczych korzyści społecznych, jest głosem rozumu i najgłębszej moralności pisarskiej.

**„SZTAMPY“ PUBLICYSTYCZNE.** W tym samym numerze wywiad z Wincentym Rzymowskim w sprawie antysemityzmu. Rzymowski przeprowadza rozmowę z A. Wolicią. Co zażdżiwa w tym wywiadzie, to fakt używania przez R. wyłącznie t. zw. sztamper publicystycznych, t. zn. ogólników znanych z codziennej publicystyki. Wydaje się, że czytelnik miałby prawo wymagać od publicysty o większych pretensjach więcej niż powtarzania programowych hasel. Na Zachodzie zwykle linia demarkacyjna między „wyrobnikiem opinii“, a publicystą w wyższym stylu jest bardzo wyrazista. Artykuł, czy wywiad z takim publicystą daje zwykle nowy materiał obserwacyjny czy też intelektualny. Szczególnie wywiad jako forma wypowiedzi bardzo indywidualna wymaga większego pogłębienia. Czyż bowiem jest właściwie sens przeprowadzania wywiadu, jeśli ma on mieć charakter banalnego egzaminu ze znajomości ogólników. Powtarzanie ich do znużenia wystarczy chyba w dziennikach, obliczonych na stwarzanie opinii społecznej. Repetowanie ich w wywiadzie i w piśmie o wyraznym charakterze literackim jest tylko zabieraniem czytelnikowi czasu.

**STOSUNEK DO KULTURY U PRZYŚIĘGLYCH JEJ OBRONCÓW.** W sprawozdaniu Haliny Górskiej ze zjazdu pisarzy „lewego frontu“ do Lwowa (*Sygnaly*, nr. 18) zwraca uwagę następujący pasus: „cały szereg mówców żądał na zjeździe od pisarzy czynnego udziału w życiu oświatowym i politycznym i wyraźnej tendencji utworu, a jeden z poetów chłopskich pośnął się nawet tak daleko, iż oświadczył, że dzisiaj nie ma czasu na hawienie się w doskonalenie formy lub zawiłe problemy — nie jakość, lecz ilość jest ważna, gdyż wieś jest głodna słowa“. Trudno nie zauważyć, że taki stosunek do kultury rzuca interesujące światło na troskę tych mówców i poetów o kulturę, zagrożoną przez faszyzm. Wydaje się, że biedna kultura mogłaby powtórzyć przysłowie: broń mnie Boże od moich przyjaciół. W każdym razie wypowiedzenia, podane przez H. Górską, tłumaczą w wysokim stopniu fakt niezmiernie ilości pisarzy proletariackich. Oczywiście, że przy takich kryteriach bardzo łatwo być pisarzem. Po co jednak nazywać się „pracownikami kultury“? Czyż nie wystarczy zupełnie określenie „agitatorzy“. Poco nadużywać słów? W tym samym numerze interesujące przekłady z poezji niemieckiej. Artykuł o niemieckiej poezji lewicowej dość ogólnikowy. Przydałoby się omówienie sumienne i niedogadane literatury niemieckiej w kraju i zagranicą, gdyż wiadomości nasze o niej są niesłychanie ubogie. Z wielkich literatur europejskich najmniej się orientujemy chyba w angielskiej i niemieckiej.

**UGORY.** Powstało znowu nowe pismo lewicowe: *Ugory*. Wydaje je grupa młodzieży chłopskiej i zespół literacki *Ugory*. Program pisma radykalny. Wobec istnienia radykalnej *Nowej Wsi* pismo nie wydaje się być celowe.

W 1 nr. zwraca uwagę wywiad z Zegadłowiczem. Dla charakterystyki wystarczy zacytować następujące słowa: „Pojęcie „państwa“ jest dla przyszłego ustroju frontu ludowego nieistniejące... elementy świadomości chłopskiej są wyraźne: apatryotyzm, antymilitaryzm, antyklerykalizm, nieufność wobec wszelkiej biurokracji, która jest wykładnikiem ojczyzny i państwa... Trza będzie wybuchowo wyrwać z siodła całą oficjalną literaturę (poza socjalnie liberalną i wolno-myślicielską, która jest pomostem między przeszłością a przyszłością) z faszyzowskimi wiatkami na czele, zdezaszuować szereg legend historycznych i personalnych, które nie są niczym innym, jak starszłachetyczną z jednej strony, a korzyścią i podszywaniem się z drugiej, wywalić absolutną separację wyznaniową, ukrocić militaryzm, rozwinąć oświatę i t. d. i t. d.“ Swoją drogą trudno nie przyznać, że psychika Zegadłowicza jest niezwykle, żeby się delikatnie wyrazić, skomplikowana: wróg katolicyzmu, który już będąc wrogiem, godzi się redagować tygodnik o charakterze bardzo wyraźnie, a nawet w obrębie Kościoła reakcyjnie katolickim, teraz anarchista, rączka w rączkę idący z komunistami... Bardzo zawiślana psychika!

W. BAK

## MIMOCHEDEM

**BRONISŁAW HUBERMAN**, słynny skrzypek polski, odnoszący obecnie w Stanach Zjednoczonych wielkie triumfy artystyczne, skorzystał z okazji, aby odwiedzić Einsteina.

Jak wiemy, Einstein jest nie tylko wielkim uczonym, ale i żywym politykiem. Huberman udał się do Princeton właśnie dla przedyskutowania einsteinowskiego planu założenia orkiestry w Tel Aviv w Palestynie. Podobno A. Toscanini zaofiarował się poprowadzić pierwszy koncert tej orkiestry.

Ciekawe, czy Huberman będzie tak dobrym organizatorem, jak dobrym jest skrzypkiem?

**NOWY MOJŻESZ** ekonomji, czy kiepski znachor, oto pytanie, które staje się sensacją Ameryki.

Dotyczy ono Dr. Francis'a E. Townsenda, starszego, chudego pana w rogowych okularach z wąsikami a la Hitler. Twierdzi on, że znalazł całkowite rozwiązanie kwestji dobrobytu. Trzeba tylko uchwalić ustawę, na mocy której każdy mieszkaniec U. S. A. powyżej 60 lat będzie dostawał od państwa stałą pensję (czy też emeryturę) 200 dolarów miesięcznie z warunkiem, że musi je w przeciągu 30 dni wydać. W tym warunku, właśnie tkwi sedno sprawy. Wzmożenie obrotu będzie tak wielkie, że odczuje to całe gospodarstwo i nastąpi wieczna prosperity. Taki sposób zwalczania kryzysu podoba się oczywiście, zwłaszcza tym po sześćdziestce.

Plan opracowany jest dokładnie z wyznaczeniem źródeł pokrycia i t. d. Narazie ekonomiści klócą się zawzięcie, czy pomysł jest humbugiem czy też genialnym odkryciem. Tak zwani „prości ludzie“ poparli natomiast żywiołowo pana Townsenda.

Dziś już istnieje townsendizm, tak jak w Europie — faszyzm czy komunizm, jest organizacją — O. A. R. P. (*Old Age Revolving Pensions*) licząca ponad piętnaście milionów zwolenników i zwiększająca się tygodniowo o dalsze cztery czy pięć tysięcy. Istnieją liczne kluby i prasa z *Townsend National Weekly* na czele. Większość obecnych czołowych congressmanów (posłów) jest nieprzychylna, a szczególnie posłowie ze stanów południowych, okupujących strategiczne komisje, którzy z najwyższym oburzeniem odrzucają plan, ho... wynika z niego, że murzyni również braliby po 200 dolarów (autentyczne: Mason Dixon). Zapewne są i mocniejsze argumenty przeciw tej nowej bombie ideologiczno-ekonomicznej, ale narazie townsendizm stoi w ogniu walki i zalewa szpalty amerykańskiej prasy.

I pomyśleć, że pan Townsend, zakładając trzecią partję w odwiecznym dwupartyjnym Stanach, jeszcze w dzień noworoczny 1934 roku, własnoręcznie malował ściany i okładał podłogi linoleum w lokalu, w którym zaczął swoją nową karierę.

**KTO RZĄDZI Chinami?** Czang-Kai-Szek? Nie, w każdym razie nie tylko on. Ten sławny *generalissimo* stworzył bardzo dziwny quadrumvirat. Sam milczący, odosobniony i cieszący się tem odosobnieniem, nie znający żadnego języka europejskiego ani innego, podzielił się swą władzą z Dr. Kung

i z... dwiema swojimi siostrami. Stareza zwłaszcza odgrywa znaczną rolę, chociażby dlatego, że jest jedynym jego łącznikiem ze światem. Dr. Kung i dwie panie Czang-Kai-Szek tworzą cały sekretariat generała i zarazem dyktatora, z którym zresztą nie roz-

stają się. Gdy on wyjeżdża (a Chiny są wielkie), wyjeżdża i sekretariat specjalnym samolotem zawsze gotowym do drogi. Tak razem rządzą i bronią swoich Chin: dyktator, dwie siostry i dr. Kung.

(UT)

## LIGA MORSKA I KOLONIALNA



Bandera na O. K. T. „Iskra“

Już w samym zaraniu powstawania na nowo do życia Państwa Polskiego, bo w dniu 1 października 1918, za czasów jeszcze okupacji niemieckiej, garstka 25 ludzi zawiązała w Warszawie Stowarzyszenie „Bandera Polska“, którego celem było krzewienie idei morskiej w społeczeństwie. Stowarzyszenie to, przeszedszy kolejno różne przeobrażenia organizacyjne, na Walnym Zjeździe Delegatów w Gdyni w r. 1930 otrzymało nowy statut, znacznie rozszerzający program jego działalności a zarazem przyjęło obecną nazwę Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Jednym z podstawowych punktów tego programu jest uświadamianie społeczeństwa o konieczności wzmocnienia polskiej siły zbrojnej na morzu. Podnosząc hasło dozbrowienia Polski na morzu, Liga opiera się na tyśiącletniej nauce historii, wykazującej, że tylko państwa, które potrafiły utrwalić swe władanie nad morzem, stanęły w rzędzie mocarstw i odegrały większą rolę w rozwoju wypadków dziejowych. Liga, wierna zasadzie „Cudzego nie chcemy — swego nie damy“, nawołuje do stworzenia takiej siły na morzu, która mogłaby w razie potrzeby obronić słusznych praw Rzeczypospolitej. Pragnąc przyczynić się do urzeczywistnienia głoszonych hasel, Liga podjęła się przeprowadzenia zbiórki na Fundusz Obrony Morskiej, zleconej jej uchwałą Rady Ministrów z r. 1933, przyczem wzięła na siebie wszystkie koszty administracyjne, związane z tą zbiórką. Akcja zbiórki dała do dnia 16 czerwca b. r. 4.062.448,24 zł., z czego 3.315.000 — zł. zostało już wpłacone na budowę łodzi podwodnej im. Marszałka Piłsudskiego.

Dążąc do jak najlepszego wykorzystania swobodnego dostępu do morza dla rozwoju gospodarczego kraju, Liga współdziałała we wszelkich sprawach, związanych z morzem, a więc w dziedzinie rozwoju portów polskich, wybrzeża, handlu i rybołówstwa morskiego. Opiekuje się ludnością wybrzeża oraz marynarzami, tworząc m. in. domy marynarza w Gdyni i Gdańsku. W trosce o jak najściślejże zespolenie zaplecza z morzem, współdziała w opracowywaniu planów rozbudowy i eksploatacji sieci dróg wodnych śródlądowych, opiekuje się żeglarzami śródlądowymi, dążąc do podniesienia ich sprawności technicznej i gospodarczej, w tym celu organizuje specjalne kursy w Warszawie.

W pracach swych nad krzewieniem idei morskiej w Polsce Liga zwraca szczególną uwagę na wychowanie wodne młodych pokoleń, budząc w nich zamiłowanie dla sportów wodnych, dążąc do zetknięcia z żywiołem morskim przez zaprawę morską, tę najlepszą szkołę, hartującą zarówno ciało, jak i duszę. Ku temu celowi mają służyć popularne wycieczki do Gdyni i na wybrzeże, letnie obozy nadmorskie, obóz żeglarski nad jeziorem Narocz, a także dorocznie organizowany spływ wioślarski do morza. Jednocześnie Liga stara się skierować bujną inicjatywę młodzieży ku morzu, gdzie znaleźć może rozległe widoki dla swej przyszłości.

W oparciu o Fundusz Akcji Kolonialnej, który Liga gromadzi — dąży do uzyskania terenów dla zamorskiej ekspansji ludnościowej i gospodarczej, zbiera materiały dla spraw rewizji podziału dóbr kolonialnych, współdziała w nawiązaniu i rozwoju bezpośrednich stosunków gospodarczych z krajami zamorskimi, badając przedewszystkiem możliwości handlu wymiennego. W zakresie prac osadniczych Liga ma już szereg konkretnych wyników. Na zakupionym w Paranie obszarze 7.000 ha utworzono teren ko-

lonizacyjny „Wola Morska“, na którym osadzono już 38 rodzin rolniczych, przybyłych z Polski, oraz około 40 rodzin, dawniej już osiadłych w Brazylii. Ostatnio teren „Morskiej Woli“ został powiększony o 1.500 ha, a jednocześnie zakupiono nowy teren „Juquia“ o obszarze 10.000 ha, położony również w stanie Parana. Liga pragnie dać w ten sposób impuls i przykład dla masowej emigracji z Polski nadwyżki stałe powiększającej się ludności, która w kraju nie może już znaleźć dla siebie pracy. Niezależnie od tego nawiązany został przez Ligę kontakt z rządem liberyjskim, którego realnym wyrazem jest założenie w Liberji plantacji polskich.

W zakresie uzyskania własnych kolonii nie mamy jeszcze oczywiście konkretnych rezultatów. Hasło to jednak przestało być mrzonką, gdyż coraz częściej i to z ust odpowiedzialnych mężów stanu państw europejskich padają głosi o konieczności rewizji podziału dóbr kolonialnych. Polska, która ma wszelkie prawo uczestniczenia w tym podziale, o tyle tylko będzie mogła skutecznie dochodzić tych praw na forum międzynarodowym, o ile sama uświadomi sobie ich doniosłość i o ile będzie rozporządzała odpowiednio przygotowanym materiałem ludzkim.

Doceniając potęgę słowa pisanego w rozpowszechnianiu i ugruntowywaniu w społeczeństwie nowych zagadnień, Liga wydaje 4 czasopisma periodyczne: miesięcznik *Morze*, *Szkwał* i *Polska na Morzu* oraz kwartalnik naukowy *Sprawy Morskie i Kolonialne*, a niezależnie od tych czasopism szereg niezmiernie ciekawych prac o charakterze naukowym oraz popularne broszury, poświęcone sprawom morskim i kolonialnym, które dzięki bardzo niskim cenom rozchożą się w nakładzie tysięcy egzemplarzy do najszerzych mas.

Przy Lidze powstała również biblioteka, ma być utworzony w najbliższej przyszłości Instytut Morski i Kolonialny, który grupując dzieła, materiały i eksponaty, obrabujące całokształt spraw morskich i kolonialnych, pozwoli na oparcie badań nad tymi zagadnieniami na szerszych podstawach, wypełniając w ten sposób poważną lukę w życiu naukowym Polski.

Jeżeli mówimy o realnych wynikach działalności Ligi, to trzeba podnieść najistotniejszy, najbardziej realny rezultat jej prac — wspaniały rozwój organizacyjny. Liga Morska i Kolonialna liczy obecnie w swych szeregach ponad pół miliona członków, zgrupowanych w 1.700 Oddziałach, obok których rozwija się ruch organizacyjny młodzieży, skupiającej się w 2.000 Kołach Szkolnych L. M. K. Członkowie ci to realna zdobycz Ligi, gmachu polskiej potęgi morskiej.

W ostatnich dniach czerwca w całym kraju, we wszystkich ośrodkach Polonii zagranicznej odbyły się uroczystości „Święta Morza“, które, sięgając swymi początkami r. 1932, ma już swoją tradycję i jest dziś wielką manifestacją całego narodu polskiego. Liczny i entuzjastyczny udział społeczeństwa w tych uroczystościach stwierdza wobec całego świata, że zdaje sobie sprawę z niezmiernie doniosłego znaczenia zagadnień morskich i kolonialnych dla przyszłości polskiej i że gotowe jest w razie potrzeby bronić praw Polski na Bałtyku.

W. C.

**Urlop służy przedewszystkiem do uwolnienia organizmu z pobocznych i szkodliwych produktów przemiany materji, nagromadzonych w czasie całorocznej pracy.**

**Zadanie to znakomicie ułatwia przeprowadzona w tym czasie kuracja ziołami „Cholekinaza“ H. Niemojewskiego.**

**REDAKCJA:** Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.  
**ADMINISTRACJA:** Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., 1/2-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.